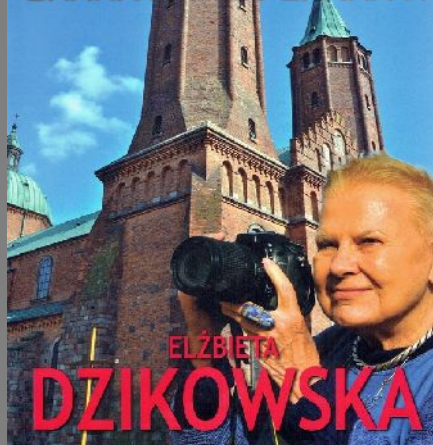


POLSKA
ZNANA I MNIEJ ZNANA IV



ELŻBIETA
DZIKOWSKA

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIII Nr 8(264) Żelów, sierpień 2018

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Jakuba Biedrówki, Ignacego S. Fiuta, Andrzeja Gnarowskiego, Małgorzaty Hrycaj, Kazimierza Ivosse, Izabeli Iwańczauk, Anny Landzwójtczak, Danuty Perier-Berskiej, Beaty Skulskiej-Papp, Moniki Szanaucner-Telki, Joanny Wicherkiewicz, Anity Katarzyny Wiśniewskiej, Kaliny Izabeli Zioly

Andrzej Dębkowski – *Wsi spokojna, wsi wesoła*

Leszek Żuliński – *Mamy ważny debiut*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Muzyka rockowa i poetyckie alegorie oraz Wiersze z magnolii w tle*

Stefan Jurkowski – *„Demokracja”*

Kazimierz Ivosse – *Kromka czarnego, komiśnego chleba i karabin*

Joanna Friedrich – *Królowa nie może być naga. Szamt czasu*

Anna Dominiak – *Bliżej krwiobiegu. O debiucie Katarzyny Zwolskiej-Plusy*

Satyryk na zakręcie – **ze Sławomierem**

Łuczyńskim rozmawia Anna Andrych

Dariusz Pawlicki – *Minitraktat o skopywaniu grządek*

Lidia Kosk – *Zaprzęg z cieniem*

Arkadiusz Kiński – *„Powróciłem”*

Jerzy Stasiewicz – *Modlitwy malowane trzcina*

Stanisław Nyczej – *Drugi artystyczny wzlot Kazimierza Kochańskiego*

Andrzej Gnarowski – *Poeta, który wnikał w ciemność świetlistą*

Jerzy Lengauer – *Smunte miasteczka*

Danuta Sepuco – *Biesiada literacka, koncert i nagrody*

Informacje

Wydarzenia

Witryna

Poeta, który wnikał

(...) Dla Bartyńskiego poezja nie jest żywiołem, lecz jedynie materią, w której nieustannie utrwalana jest rzeczywistość czasów poety. Widzi dalej, niż na to pozwala bezpośrednia przestrzeń słowa. Żeby zaspokoić pragnienie czytelników – poeta winien „być na wskroś autentyczny. A to zależy zarówno od wrażliwości twórcy i jego umiejętności otworzenia się na rzeczywistość, w której żyje, jak i od realistycznej oceny własnej pozycji w nieustannie zmieniającym się świecie Poeta pojmował życie jak najszerzej: fizycznie i metafizycznie. Był nosicielem prawd oczywistych i tych, których nie ma, ale za którymi twórca musi iść zawsze. Poeta wyznawał pogląd, że artysta jest jednostką wyjątkową zarówno na tle współczesnego, jak i dawnego społeczeństwa. „A teraz pisze, bo już wie albo pisze w tym właśnie celu, żeby się w tej chwili o całym świecie i o sobie, i o swoim wierszu czegoś nowego, nieznanego dowiedzieć”. (Leśmian w szkicu „Z rozmyślań o poezji”). (...) – **pisze Andrzej Gnarowski na stronach 17-18.**

Satyryk na zakręcie

Znawcy tematu podkreślają jego solidne warsztatowe rzemiosło. Styl Sławomira Łuczyńskiego jest od razu rozpoznawalny, przypomina średniowieczne „dance macabre”,



Rys. Sławomir Łuczyński

tylko że przeniesione w nasze czasy. Postaciami swoich rysunków przekazuje nam ważną myśl: życie umyka, więc nie traćmy czasu na to, co błahie, nieważne i miałe, bo nieuchronna jest śmierć, nicłość, choroba, gorycz starości – przychodzi poczucie pustki i ludzka niezgoda na taki stan rzeczy. To, co nieuchronne, miesza się u Łuczyńskiego z humorem, czasem rubasznym, czasem jest intelektualną łamigłówką. Piętnuje nasze polskie przywary – moralizuje i naucza przez uśmiech, rysunkowy żart, oddech absurdu. Śmiech oczyszcza, krzepi, daje wytchnienie, ale przynosi także Stańczykową zadumę.

Obok rysunkowych satyr i żartów Łuczyński jest autorem prac epickich, pełnych rozmachu, które przypominają prace surrealistów i symbolistów. Budzi w widzach refleksje i rozważania. (...) – **z rysownikiem i satyrykiem Sławomirem Łuczyńskim rozmawia Anna Andrych na stronach 3-4.**

Wsi spokojna, wsi wesoła...

Wakacje w pełnej krasie, piękna pogoda i w pewnym momencie tej letniej sielanki wydawało się, że będzie jeszcze bardziej radośnie, bo zbliżyły się mistrzostwa świata w piłce kopanej. Niemal wszyscy mieszkający w dorzeczu Wisły, Odry, Bugu i Warty już widzieli naszych piłkarzy ze złotymi medalami na szyi, władze pewnie byłyby w stanie wysadzić w powietrze Pałac Kultury i Nauki, żeby tylko Plac Defilad miał większą powierzchnię (słyszałem, że miało świętować w centrum Warszawy nawet dwa miliony Polaków), ale niestety – stało się to, co musiało się stać – bolesny i przedwczesny powrót naszych skompromitowanych orłów... Wiele by pisać na ten temat, dlaczego akurat podczas tej najważniejszej imprezy sportowej zabrakło polskim piłkarzom wszystkiego i w zasadzie byli jedną z najgorszych, jeśli nie najgorszą drużyną Mundialu w Rosji, ale chcę skupić się na czymś zupełnie innym, trochę pozasportowym, chociaż ze sportem pośrednio bardzo związanym... (...) – **pisze Andrzej Dębkowski na stronie 15.**



Konkursy

10. Konkurs na zbiór wierszy im. Scherffera von Scherffersteina „O Syfon Scherffera“ Brzeg 2018

Wenzel Scherffer von Scherffenstein – (ur. 1603 w Głubczycach, zm. 1674 w Brzegu) – niemiecki organista i poeta barokowy, poliglota, tłumacz, polonofil. Był uczniem kompozytora Matthausa Apellesa von Löwensteina. Jako organista działał w przyzwockiej kaplicy św. Jadwigi w Brzegu, jako poeta w 1653 został uhonorowany zaszczytnym tytułem Poeta laureatus. Jako tłumacz przekładał z języków łacińskiego i polskiego, na język niemiecki przełożył m.in. 138 fraszek Jana Kochanowskiego. Dzieła poetyckie wydawał w Brzegu, m.in. liczący 800 stron zbiór błyskotliwych, niestroniących od humoru wierszy „Geist- und Weltliche Gedichte”. Napisał również sporą ilość utworów okolicznościowych, w których posługiwał się także dialektem śląskim. Od 1631 aż do śmierci pozostał na usługach Piastów brzeskich.

Klub Integracji Twórczych „Stowarzyszenie Żywych Poetów” z Brzegu ogłasza **9. Konkurs na zbiór wierszy**. Konkurs ma charakter otwarty i może wziąć w nim udział każdy, kto zastosuje się do regulaminu. Nie ma ograniczeń wiekowych.

Uczestnicy winni nadsyłać zestawy obejmujące nie więcej niż 45 utworów poetyckich, mieszczących się na nie więcej niż 54 stronach (nie licząc spisu treści i tytułowej), w 3 kopiach oraz na nośniku elektronicznym (płyta CD, dyskietka, pendrive).

Termin nadsyłania prac upływa dnia 31 sierpnia 2018, liczy się data stempla pocztowego. Zestawy prac należy nadsyłać na adres: K.I.T. „Stowarzyszenie Żywych Poetów”, Miejska Biblioteka Publiczna Im. Ks. Ludwika I, ul. Jana Pawła II 5 (Nisza), z dopiskiem „**Syfon Scherffera**”.

Zestawy prosimy opatrzyć godłem autora, a w osobnej kopercie oznaczonej tym samym godłem, przesłać szczegółowe dane autora.

Przez godło rozumie się jakikolwiek znak graficzny, słowo, logo lub alfanumeryczny symbol maskujący właściwą tożsamość autora.

Utwory nadsyłane na konkurs nie mogą być wcześniej nagradzane w konkursach na tomik wierszy ani publikowane w drukach zwartych. Mogą być publikowane częściowo w drukach ulotnych, Internecie, prasie lokalnej, radio i telewizji, prasie literackiej.

Nadesłane zestawy wierszy oceni jury w składzie: Ryszard Chłopek, Joanna Mueller, Radosław Wiśniewski.

Zgłoszenia niespełniające regulaminowych wymogów będą dyskwalifikowane.

O wynikach konkursu laureat zostanie powiadomiony listownie, internetowo, telefonicznie lub w jakikolwiek inny skuteczny sposób.

Wręczenie nagrody finansowej oraz honorowej odbędzie się w trakcie 20. Konfrontacji Literackich Syfon w październiku 2018 roku.

Dodatkowe informacje można uzyskać na stronie profilowej Stowarzyszenia w serwisie www.facebook.pl oraz pod adresem e-mail: kit.szp@wp.pl oraz pod numerami telefonów: 693 854 745 lub 691 410 114

Nagrodzony tom wierszy zostanie opublikowany nakładem organizatora konkursu.

Organizator zastrzega sobie prawo do pozyczenia drobnych zmian o charakterze redakcyjnym i korektorskim w nagrodzonym zestawie.

Organizator zastrzega sobie prawo rezygnacji z przyznania nagrody i rozstrzygnięcia konkursu w przypadku braku zestawów spełniających kryteria estetyczne i formalne lub z przyczyn od niego niezależnych.

27. Konkurs Literacki o Złoty Syfon Stowarzyszenia Żywych Poetów W Brzegu

Konkurs ma charakter otwarty i może wziąć w nim udział każdy, kto wypełnia warunki regulaminu.

Konkurs odbędzie się w kategorii poezja. Tematyka i forma nadsyłanych prac jest dowolna.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie zestawu 5 wierszy w 3 kopiach w terminie do 1 września 2018 (liczy się data stempla pocztowego) na adres: K.I.T. „Stowarzyszenie Żywych Poetów”, Miejska Biblioteka Publiczna w Brzegu, ul. Jana Pawła II 5 (Nisza), z dopiskiem: **27. Konkurs O Laur SZP**.

W jury zasiądą laureaci poprzednich edycji konkursu, a laureaci tegorocznej edycji zasiądą w jury przyszłorocznej edycji.

Zestawy prosimy opatrzyć godłem autora, a w osobnej kopercie oznaczonej tym samym godłem, przesłać szczegółowe dane autora.

Przez godło rozumie się jakikolwiek znak graficzny, słowo, logo lub alfanumeryczny symbol maskujący właściwą tożsamość autora.

Utwory nadsyłane na konkurs nie mogą być wcześniej nagradzane w innych konkursach ani publikowane w prasie literackiej, drukach zwartych, prasie ogólnopolskiej.

Zgłoszenia niespełniające regulaminowych wymogów będą dyskwalifikowane.

O wynikach konkursu laureaci zostaną powiadomieni listownie, internetowo, telefonicznie lub w jakikolwiek inny skuteczny sposób.

Łączna kwota nagród do podziału przez jury wynosi nie mniej niż 2500 złotych.

Wręczenie nagród, pod postacią „Złotych Syfonów” oraz wkładów pieniężnych do skarbonek-świnek, odbędzie się w trakcie 20. KONFRONTACJI LITERACKICH „SYFON”, które odbędą się w Brzegu w dniach 25-28 października 2018.

Dodatkowe informacje można uzyskać na stronie internetowej Stowarzyszenia: www.zywiopoci.pl, na profilu Stowarzyszenia w serwisie facebook a także pod adresem e-mail: kit.szp@wp.pl oraz pod numerami telefonów: 693 854 745 lub 691 410 114

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do nieodpłatnej publikacji nagrodzonych i wyróżnionych tekstów oraz tekstów wybitnie nienagrodzonych.



Modlitwy malowane trzcina

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu miała zaszczyt gościć **Adrianę Jarosz** – poetkę, pedagoga, bibliotekarza. Wielokrotną medalistkę Mistrzostw Polski w hokeju na trawie. Autorkę tomików poetyckich: „Rozdrożami” i „Niebo pachnące sianem”. Współautorkę albumu fotograficzno-poetyckiego „Rogalik”.

Utwory Ady Jarosz ukazują się w antologiach, almanachach i czasopismach poświęconych literaturze i kulturze polskiej. Związana z krakowskich wydawnictwem SIGNO oraz krakowską grupą „Každy”. Członek stowarzyszenia Przyjaciół Twórczości Jana Kasprowicza. Teksty poetki przetłumaczono na język serbski. Laureatka wielu konkursów literackich. Nominowana do nagrody Perły Roku 2014 i Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego dla Animatorów i Twórców Kultury w roku 2017.

Ada Jarosz promowała najnowszą książkę poetycką „Modlitwy malowane trzcina”, który „(...) już od samego początku powstawał jako dzieło w miarę jednorodne z wybranym tytułem dla całości i jako kontynuacja wcześniejszych zainteresowań Poetki. Przekazuje je w najbardziej adekwatnej formie literackiej, która odzwiercudla twórczy zamysł, czerpie z tradycji i inwencji, bez względu na panujące w świecie mody – coraz bardziej konceptualnej i aforystycznej poezji. Już w dwu poprzednich tomach: „Rozdrożami” (2014) i „Niebo pachnące sianem” (2015) uwidoczniło się upodobanie Autorki do narracji, zastosowanej w dłuższych utworach wierszowanych, posiadających fabułę oraz do pieśni, która stwarzała Poetce możliwość ukazania całego spektrum uwarunkowania na różnoraki los człowieka i kondycję wszechobecnej przyrody.^[1] (...) Poetyka wierszy Adriany Jarosz, tych najnowszych, zawartych w niniejszym tomie jest osobliwa, dlatego że jest jak barwny gobelin utkana z pozornych opozycji: miasto-wieś, dzień-noc, bogactwo-bieda, realne-nierealne (w szerokim spektrum od indywidualnych przeczuć, wyobrażeń, wizji i urojeń przez baśniowość i magię do zjawisk nadprzyrodzonych jak cuda).^[2]

Jest w tej poetce jakaś magia... Publiczność szczerze wypełniła salę, dostawiano krzesła. Stonowany spektakl w wykonaniu autorki i uczennic z jej szkoły okraszony głosem i gitarą Janusza Ochockiego (melodie do słów Monikowskiego, „Sidora”, Nohavicy) przenosił słuchaczy na bezkresne pola falujących traw. W mokradła porośnięte trzcina, gdzie cisza i wodne ptaki mają swój dom. A poeta staje się pełnoprawnym mieszkańcem ziemi spokoju, aż po widnokrąg. Albo i dalej po zadziór wędrówki. Bo Adę ciągle coś gna i jest obecna duchem i ciałem w różnych regionach Europy, skąd czerpie siłę i zaczn kolejnych liryków.

Jerzy Stasiewicz

[1] „Współistnienie świata realnego i baśniowego w poezji Adriany Jarosz”, Magdalena Węgrzynowicz-Plichta.

[2] Tamże.

Satyryk na zakręcie

Ze Sławomirem Łuczyńskim rozmawia Anna Andrych

Znawcy tematu podkreślają jego solidne warsztatowe rzemiosło. Styl Sławomira Łuczyńskiego jest od razu rozpoznawalny, przypomina średniowieczne „dance macabre”, tyle że przeniesione w nasze czasy. Postaciami swoich rysunków przekazuje nam ważną myśl: życie umyka, więc nie traćmy czasu na to, co błahe, nieważne i miałkie, bo nieuchronna jest śmierć, nicłość, choroba, gorycz starości – przychodzi poczucie pustki i ludzka niezgoda na taki stan rzeczy. To, co nieuchronne, miesza się u Łuczyńskiego z humorem, czasem rubasznym, czasem jest intelektualną łamiętkówką. Piętnuje nasze polskie przywary – moralizuje i naucza przez uśmiech, rysunkowy żart, oddech absurdu. Śmiech oczyszcza, krzepi, daje wytchnienie, ale przynosi także Stańczykową zadumę. Obok rysunkowych satyr i żartów Łuczyński jest autorem prac epickich, pełnych rozmachu, które przypominają prace surrealistów i symbolistów. Budzi w widzach refleksje i rozważania.

Japonia, Chiny, Tajwan, Argentyna, USA, Belgia, Włochy, Francja, Turcja – to tylko niektóre z krajów, których galerie goszczą prace Sławomira Łuczyńskiego.

Autor okładek kwartalnika „Krajobrazy Kultury”, które są dumną wizytówką poznańskiego oddziału ZLP. Użyczy redakcji swoich rysunków i ma stały kącik w „KK” – stronę felietonu satyrycznego.

W lutym br. wystawił swoje prace w Bibliotece Uniwersyteckiej (Galeria) w Poznaniu przy ulicy Ratajczaka zorganizowanej wspólnie z poznańskim oddziałem Związku Literatów Polskich.



Fot. Ze zbiorów Autora

Sławomir Łuczyński

Anna Andrych: – Pracowałeś jako grafik w tygodniku „Nad Wartą” w Sieradzu. Uczestniczyłeś w warsztatach i plenerach literacko-plastycznych. W jednej z moich teczek z archiwaliami pod hasłem Klub Pracy Twórczej w Sieradzu są rysunki

zamieszczone w „Szpilekach” i „Karuzeli”. Stanowią one tylko namiastkę w Twoim bogatym dorobku.

Sławomir Łuczyński: – Spotykamy się na kolejnym zakręcie mojej twórczości, gdzie już od czterech lat zaprzestałem rysować do gazet, a zacząłem malować obrazy satyryczne. Żywoć rysunków gazetowych jest krótki, a obrazy mogą powisieć dłużej... Nie stronię jednak od ilustrowania książek. Byłem współpracownikiem wielu gazet, nawet kilkunastu jednocześnie. Rysowałem do „Karuzeli”, „Szpilek”, ale też do londyńskiego „Obserwatora”, czeskiego „Tapira” i do „Głosu Florydy”.



Rys. Sławomir Łuczyński

– Czy są takie rysunki, które darzysz jakimś szczególnym sentymentem, wspomnieniem, które dały Ci większą satysfakcję?

– Są rysunki, które darzę sentymentem. Oczywiście te, które zdobyły najwyższe trofea, i te, które są mi po prostu bliskie, niekoniecznie nagradzane.

– Skąd czerpiesz pomysły, inspiracje? Czy wynikają one z obserwacji konkretnych zdarzeń i ludzkich zachowań?

– Pomysły rodzą się właściwie w każdej sytuacji. Zdaję sobie sprawę, że nie powstałyby, gdybym nie był w danym miejscu i czasie. W mojej twórczości kieruję się szczerością wypowiedzi, choć to niewdzięczna rola. Przedstawiam swoje widzenie świata. To propozycja, z którą można zgodzić się lub nie. Przyświeca mi motto „Satyryk, który pluje z wiatrem, może opluć sobie twarz”.

– Czy Sławomir Łuczyński to twórca, który sztywno trzyma się ram?

– W mojej twórczości nie unikałem malowania murali, robienia scenografii, spotów reklamowych, projektowania logo. Zrobiłem nawet wspólnie z kolegą film animowany „Moje podwórko”, który obejrzeć można na YouTube. Jeżdżę po Polsce z moją wystawą fotograficzną „Po drodze”. Latem lubię spędzać

czas w domku w lesie. Ponieważ nie umiem leniuchować, zabijam tam czas, rzeźbiąc w drewnie.

– Twoje prace można zobaczyć w galeriach i miejscach wystawowych w całej Polsce i wielu krajach świata. A w Paryżu...

– Dużą frajdę sprawia mi udział w zagranicznych plenerach i jurorowanie w konkursach międzynarodowych. Dzięki temu zwiedzam trochę świata i spełniam swoje marzenia o podróżowaniu. Poznaję nowych ludzi. Będąc na festiwalu satyry we Francji w Saint-Just-le-Martel, poznałem kustosz Muzeum Historii Nowoczesnej w Paryżu. Zaproponowała zakup kilkunastu moich prac do zbiorów tegoż muzeum. To największa moja kolekcja w zbiorach muzealnych. Pojedyncze prace znajdują się w kolekcjach prywatnych w USA, Australii i prawie w całej Europie.

– Poznajesz satyryków w wielu krajach. Bywasz na międzynarodowych plenerach. Jak postrzegasz tych artystów, ich mentalność, sztukę, a poprzez nią sposób wypowiedzi – przekazu?

– Podczas moich wypraw na festiwale i konkursy międzynarodowe spotykam satyryków z całego świata. Operujemy tym samym językiem poprzez rysunek. Jest to język uniwersalny, sprawdzony już przez prehistorycznych „artystów” w jaskiniach. Czytelny dla każdego. Tematy wszędzie są te same, bo i przywary ludzkie są międzynarodowe. Wszechobecna głupota, zawiść, zazdrość... Jedynie mentalność nas rozróżnia. My, Polacy-satyrycy, brylujemy w świecie. Polska szkoła karykatury jest najlepsza i doceniana.



Rys. Sławomir Łuczyński

– Czy poznawani tam satyrycy – mogą liczyć na mecenasów sztuki, sponsorów, przychyłność władz miasta, otwartość galerii?

– Mecenas sztuki karykaturzystów nie rozpieszają. Satyrę traktują jak piąte koło

(Dokończenie na stronie 4)

Satyryk na zakręcie

(Dokończenie ze strony 3)

u wozu. Opowiadali mi rysownicy z Iranu, że u nich jest jedyna na świecie szkoła rysunku satyrycznego przy... akademii wojskowej. Domyślałam się, że kształci propagandzistów.

– Od niemal siedmiu lat nieprzerwanie pełnisz funkcję wiceprezesa Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury (SPAK). Z jakimi ona wiąże się obowiązkami?

– Odkąd zostałem wiceprezesem SPAK w 2011 roku, zajmuję się działalnością organizacyjną i promującą to stowarzyszenie. Zorganizowałem konkursy ogólnopolskie, plenery międzynarodowe. Promuję satyrę polską za granicą. W październiku ma być wystawa w USA, a za rok w Londynie.



Rys. Sławomir Łuczyński

– Czy aktywność i twórcze dokonania zostały docenione w sposób Ciebie satysfakcjonujący?

– Za działalność artystyczną zostałem uhonorowany nagrodą SPAK – dwukrotnie Małym Erykiem, w 2002 roku Dużym Erykiem. Wśród nagród znalazły się odznaki „Zasłużony dla Kultury Polskiej” oraz „Zasłużony Działacz Kultury”. Cenię sobie bardzo tytuł przyznany przez kapitułę Ruchu Piękniejsza Polska w 2014 roku „Za tworzenie piękna, którym możemy szcycić się przed światem”.

– Co czuje, co myśli Sławek Łuczyński stawiany poprzez liczne nagrody i wystawy w gronie artystów najczęściej wystawianych i oglądanych przez widzów?

– Okres, w którym wdrapałem się na szczyt góry, mam już za sobą. Pozostało mi dreptać w miejscu lub zejść z tej góry, co uważam, że jest większą sztuką. Mój dorobek to 79 wyróżnień i nagród w konkursach międzynarodowych i 61 w polskich. Ponad 153 wystawy indywidualne. Zbiorowych już od lat nie liczę. Czuję się człowiekiem spełnionym i to, co robię, sprawia mi wielką przyjemność. Inaczej już nie potrafię. Idąc wciąż do przodu, nawet nie mogę się zestarzeć. Może tylko czasami ciało za mną nie nadąga...

– Dziękuję za rozmowę.



Rys. Sławomir Łuczyński



Małgorzata Hrycaj

Wyznanie

muszę ci coś powiedzieć
nie mogę zwlekać bo odejdiesz
zaczę pięknie od/ko/
skończę brzydko
ale kiedy szybko wypowiem
nie dostrzeżesz zadry kiedy dodam /ciebie/
miękkim głosem

Erotyk morski

nocą
przywołują mnie
twe szepty
bryzy
zawodzące nokturnami

aż napływasz
przełamujesz tamy
i nawadniasz
skorupki jajeczek
zagrzebane w piaskach
mojej plaży

rano
wyciszony i łagodny

stroisz moje piersi
szmaragdami
i otulasz
w delikatny poszum
kołtasy
na wysepkach piany

milknie we mnie
zgiełk
ostatniej bitwy
dźwięki buczków
gasną
w mojej głowie

rozpalona
czekam
na twój przypływ

byś kochał
kochał nieprzytomnie

Erotyk górski

kocham błotniste ścieżki
między pagórkami
twoje pośladki to najpiękniejsze
wypiętrzenia mówią
sławiłeś ruchy górotwórcze
wilgoć jaskiń krągłość wzniesień
wodę siklaw zamieniałeś w wino
w ekstazie roztopiałeś skały
i godziłeś się na cudowne
rozmnożenie naszych ciał

Utopia

chwila oddechu
gór przezroczyste objęcie
wszystko jest tak jak w hialal
nie straszy jeszcze
na sąsiedniej górze bogowie
śpią w pokoju
nie ma o co toczyć bojów
świat zbawiony pięknem
mogę kochać cię jak siebie
kimkolwiek jesteś

* * *

leżymy w trawie
pod baldachimem krwawnika
usta mam pełne pocałunków jeżyn

znasz wszystkie nazwy ziół
którymi czarowała
mikstur i zaklęć
halucynogennych

w kokon pajęczyny wpleceni
zanurzamy się w ziemi

a nad baldachimem krwawnika
podtrzymuje niebieskie sklepienie



Mniej Więcej (162)



Foto: Zofia Mikula

Mamy ważny debiut

Warszawski Salon Literacki, prowadzony przez Dorotę Ryst i Sławomira Płatka, staje się coraz bardziej prężny. Niedawno byłem na niezłej imprezie literackiej, jaką tu zorganizowali. Dorota poza tym jest znakomitą varsavianistką, co widać w jej działaniach. A od pewnego czasu oczywistością jest, że Salon stał się także wydawnictwem. W dorobku mają już 26 wydanych książek (15 tomików plus almanachy) – a to o czymś świadczy.

Leszek Żuliński

Ledwo co ukazał się debiutancki zbiór wierszy Anity Katarzyny Wiśniewskiej pt. *oddawanie zimna*. I teraz skupmy się już na nim.

Anita na końcu książki zamieszcza przypisy, wyjaśniając: *Za inspirację do powstania niniejszego tomiku posłużyła pewna grupa wytworów kultury oraz wydarzeń historycznych i podaje autorów oraz dzieła, które te wiersze inspirowały. Znajdziemy tu takie nazwiska, jak m.in.: Picasso, Nabokow, Boznańska, Munch, Manet... Ale to nie są swoistego rodzaju „ekfrazy”. Kulturowość tych wierszy należy do autorki; to tylko mniej lub bardziej wyraziste jej sytuowanie się w zastanym teaurusie dzieł.*

Dla przykładu wiersz pt. *Ostatni obrót: w kolejce po niebieskie stoisz równo bo lepiej / nie wyjść przed szereg / idąc w prawo docierasz do kontrapunktu. / skuteczne wykręcanie ręki przypomina obrót w walce / skuteczne wykręcanie się z siebie jeszcze bardziej / ta sama płynność ruchu. / zapadasz się a cień traci kształt i fakturę. / głowa unisona w górę. głowa leżąca ku ziemi. / zanim nadążył w grunt obrócić się nie patrz w oczy / wtedy uwierzą że się uśmiechasz. / upadek bez znaczenia. / dłonie i stopy sinieją jako pierwsze.*

Proszę zauważyć, na czym polega „metoda” tych wierszy: ich interpretacja jest w miarę dowolna, lecz jednak zmuszająca nas do zrozumienia tego, co w powyższym i w innych wierszach się dzieje. O czym w nich się mówi. Ale ten konkretny wiersz jest inspirowany obrazami Andrzeja Wróblewskiego pt. *Rozstrzelanie*, które malarz zaczął tworzyć od 1949 roku.

Anita jakby „uniwersalizuje” tamte zdarzenia. Wtedy miały one wymowę polityczną, dzisiaj wiersz autorki czyta się „egzystencjalnie”. Ewolucja czasu zmienia konkrety i wybory, ale dzisiejsze czasy opowiadają dramaty o podobnej sile.

Na plecach okładki znajdujemy jeszcze taki komentarz Anity: *Chciałam, żeby były to wiersze o ludziach, nie tylko osadzonych na kliszach i obrazach, ale pełnych „mięsa i krwi”, odczuwających, biologicznych. Czy się udało? Po to trzymasz tę książkę, żeby się przekonać.*

Odpowiadam: jestem czytelnikiem, który przeczytał ten tomik kilka razy. Oczywiście zaprzęszło odwołania, jakie poetka tu stosuje, w całości nie pokrywają się zapewne z wiedzą każdego czytelnika. Jednak to wcale nie jest takie ważne. Sens tkwi w tym, że w każdej epoce tkwi sedno uniwersalne. Różnie formułowane, jednak stanowiące egzystencjalny constans. Jeśli Wiśniewska odwołuje się na przykład do obrazu Olgi Boznańskiej *Dziewczynka z chryzantemami*, to równocześnie opowiada swoje emocje. Zresztą przytaczam ten wiersz (pt. *Poskręcane płatki*) w całości: *dziewczynka nie ma imienia. Od szóstej do szesnastej / ściska w rękach białe chryzantemy. Stojąc u stóp kosza / można się tylko domyślać. / („chleb za cztery kopiejki! kilo masła za rubla! / czysta wódka – najlepsza – już pięć rubli za dzban!”) / dziewczynka kuli się / wtapia w szarą fasadę. / rozszerza czarne oczy. przed nią beczkowszy z kawą / kaszkiet sprzedawcy jabłek dorożki / brudne okna kamienic to wszystko / przesuwają się kołysz. twarze stapiają się w jedną. / krzyki gubią słowa. // wieczorem jest gorąco. nasiąknięty błotem rąbek sukienki parzy / przemoczone stopy / dziewczynka drży. kaszel nie chce minąć. / w domu znów zapachnie prawosłazem i tymiankiem / (pachnie tak od tygodni). / dziewczynka opiera się o ścianę. liczy. // „bukiet za pięć kopiejek. październik już się kończy. / czas iść na groby”.*

To jeden z najpiękniejszych (dla mnie) wierszy tego tomiku. W zasadzie klasyczna ekfrazy, ale dopowiedziana wyobraźnią Anity.

Tak, te wiersze nie *oddają zimna*... A jeśli oddają, to tylko w tym sensie, że się go pozbawiają. Te wiersze płoną introwertycznym ogniem. Fundamentalna ich mądrość i wartość polega na tym, że wszystko, co w tych wierszach istotne jest „egzystencjalne”. Lata i epoki mijają, słowa czasami brzmią inaczej, ale sedno pozostaje bez zmian. I tym sednem autorka otwiera sobie drogę do literatury. Anitko, trzymam kciuki!

Anita Katarzyna, Wiśniewska, *oddawanie zimna*. Seria Wydawnicza Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2018, s. 52.



Anita Katarzyna Wiśniewska

Wróżba

wyśniła sobie krew. teraz
próbuje ją wytrzeć. szmata w dłoni
nasiąka czerwienią.
to nie moje – szepcze. – to nie moje

babcia mówiła: *pierwszy sen w nowym
miejscu*
może się sprawdzić.

rozkopuje kołdrę
ociera pot z brwi reguluje oddech.
od dawna nie wierzy
w przesady i w babcię.

krew szczerlnie upchnięta pod skórą.

Chronologicznie

kobieta dla której chcę napisać wiersz
jeszcze się nie urodziła
echo jej kroków niesie się po
niezbudowanych peronach
sukienka trzepocze na wietrze
który dopiero nadejdzie

pociągi
spóźniają się coraz bardziej
wiersze
zawsze przychodzą na czas

z ludźmi
bywa różnie



Beata Skulska-Papp

o przemijaniu piękna

mówisz że uroda przemija
lecz dla mnie najpiękniejsza była
babcia

nie tęsknię
za drapieżną urodą młodego ciała
tak gotową do godów

tęsknię za babcią
chcę być piękna
jak ona

jeśli będę umiała
jeśli dojrzeję
w słońcu własnego
serca

nie jest gorzka

prawda nie ma smaku
goryczy miodu ni wina

jeśli widzisz gorzko
lub pieści cię to co widzisz

w Tobie przyczyna

cokolwiek do głębi

myślisz że jesteś bogaty
bo wciąż masz tyle do wyboru
i możesz iść we wciąż inną stronę

lecz wszystkie wybory jak gałęzie
jeden korzeń więzi
którekolwiek marzenie swe spełnisz do głębi
nakarmisz kawałek świata
i nie potrzeba nikomu więcej
nikomu

jeszcze reszta dla Larów i Penatów zostanie
na progu Twego domu
więc żeś coś stracił nie myśl

nawet po kryjomu

zaniedbanie

zwykle nie słucham ciała
cała jestem w głowie
zanurzona w myśli rozmowie

myślałby kto że one
żywą rzeką płyną
lecz rzeka to z klocków lego
mało w niej żywego

chcę to zmienić

zaczynam słuchać stóp i piersi
jak ważnych wieści
nie chcę zaniedbana szybciej umierać
chcę żyć długo i pięknie

muszę się tego nauczyć

teraz

czym jestem

na świecie jest tylko jedno serce
i jedna dusza gdy się wsłuchujesz
poczujesz jak pulsuje na odległych wyspach

jak Twoje łzy spływają po twarzy
bierzesz gdzieś właśnie swój pierwszy
lub ostatni oddech

jesteśmy czymś więcej niż osobny
zagon kruchego ciała

nie jest najważniejsze
by go chwilę dłużej ocalić

wszystko się z sobą łączy
w morzach czynach i dzieciach
na świecie jest tylko jedno serce
dziś w twojej piersi uderza

dziś Ty wybierasz
jaki będzie świat teraz

Ignacy S. Fiut

* * *

Adasiowi Ziemianninowi

w dolinie Popradu gwizdzie lokomotywa
którą prowadził ojciec Adama
a ja sypiałem w dolinie Dunajca
liczyłem gwiazdy na niebie
szepotałem –
nieś się głosie po lesie
a młody poeta ostrzył pióro
i pisał ten las wokół Muszyny

potem w Krakowie biegał
z rozgorączkowaną stówką w kieszeni
bo Waryńskiego brakowało *trzy złote*
do pół litra
– paliwa dla kołającego serca
zatrokanego o losy naszego
małego świata

Ta nasza wieczność

między
niebem i ziemią
nocą i dniem
ludzie tańczą chodzone
tango i skoczne oberki

między słońcem i księżycem
biegają za skarbami Doczesności

kuszą los i naciągają
czas na gadulstwo
o Wieczności

– ona w milczeniu
unosi się nad ich głowami
i dokładnie słyszy
ich zatroskanie

jedynie nie pojmuje
bezduszości losu który
nie zwykł odpowiadać
na ich dramatyczne
wołanie o litość

Jakub W. Bierówka

(debiut)

Pomarańczowa tęsknota

zachód słońca toczy się pomarańczą
otula świat i mnie

głupkowato kopię szyszkę po drodze
ona opromienia sąsiadów
patrz na mnie z politowaniem
psa, co groźnie szczyrzy kły
mimo komicznej postury

a ja tak sobie marzę...
że na twoją twarz opróżoną piegami
pada ta sama pomarańcza

pada – deszczem
moich uczuć

Mój mały pogrzeb

przeglądałem w myślach wiersze
te sprzed lat

to tak jakbym przyglądał się dawnemu
sobie patrząc prosto w oczy

– dobrze, że umarłeś – powtarzam
i zamykam wieko trumny
z ulgą

Zwierciadło człowieka

W lustrze odbija się tęczęwka oka
błękitne niebo przetykane ciemnymi
chmurami

odbija się głębia oceanu
zamknięta w czarnym punkcie źrenicy

odbija się też las
wątłe jodły okalają odwieczne żywioły

słyszę dzieci, które krzyczą:
„Król jest nagi!”

Anna Landzwójtczak

niepokój

trzymany na krótkiej smyczy
chodzą przy nodze
czasem depcze po piętach
gdy szczerzy zęby
zakładasz mu kaganiec
nie ujada nie kąsa

w czas zasypiania
spuszczony ze smyczy
gryzie poduszkę

słowo

wystukane na klawiaturze
podsunięte
na tacy ekranu
zastąpione symbolicznym
rysunkiem
skopiowane powielone
bezduszne

rozprysło się w przestrzeni
na elektroniczne głoski

moje wieszę

przycupnęły
krzyżkami jaskótek
rozmodlone pod okapem dachu
wyfruną otrzepać skrzydła
z nadmiaru metafor

stół

oparty o ścianę
na wszelki wypadek
w razie gdyby
ugięły się pod nim
wszystkie cztery nogi

po uderzeniu pięścią
w blat

* * *

nie ma rozmów
dokończonych
zapiętych pod samą szyję
bo guziki słów
uwierały krtań



Danuta Perier-Berska

Liryk krakowski

To było tak dawno,
nie pamiętam, czy sen to był, czy jawa?
O drzwi rozbijał się Twój głos,
zbierałam kryształki z dywanu.
Idąc śladami Twoich sto
dotarłam do lustra.
Moje oczy nabrały barwy zdziwienia.
Nasze przeznaczenie czekało
w wygodnym dla nas miejscu.
Nie poznaliśmy większego szczęścia.
Bawiło Cię wplatanie w moje włosy
kolorowych słów,
tak jak mnie zbieranie na dłoń Twoich
pocałunków,
szczęśliwa – dmuchałam im w twarz.

* * *

mam Ciebie przy sobie
jak dowód tożsamości
o przedłużonym terminie ważności
miłość laminowana w dniu wystawienia
nie blaknie od słońca
nie wyciera się
zdjęcie z roku na rok takie samo
– żyć i nie umierać

* * *

zawsze powtarzałeś
z kaplicy kieruj się prosto
potem
alejką na prawo
znajdziesz mnie między dwoma dębami
dzisiaj siedzę w ich cieniu i pytam

może przeczytać Ci ostatnie wiadomości
nie jesteś ciekaw nowinek ze świata?
a może wolisz mój najnowszy wiersz
dedykowałam go Tobie
– nie, nie erotyk
tren

* * *

Rozmowa z Tobą uspokaja
Twoje milczenie pięknie brzmi
ciało i duszę Ci oddałam,
więc jak bez Ciebie mam dziś żyć.

Na ścianach zarys Twojego cienia
w zapiskach twoich myśli ślad
i słowa których czas nie zmieni
choćby przyszło żyć sto lat.

Gdzie tylko spojrzę widzę Ciebie
i słyszę jak muzyka gra
i nie wiem czy to świat oszalał
czy też z tęsknoty – ja.

Kalina Zioła

Układanka

teraz jest już za późno
za późno na gniew
i na przebaczenie
na długie rozmowy i łyż

za późno na pocałunki i
śmiech w środku nocy
na gorzkie wymówki
i niespełnione obietnice

za późno na motyle w brzuchu
i kolejne kłamstwa
na wieczornego szampana
i koniak o świcie

rozsypany się dni
i nie ułożymy już z nich
wspólnego życia

za późno

Odbicia

w płynącej wodzie
wiatr zapisuje swoje wiersze
kreśli nierówne litery
które porywa szybki nurt

na ciemnej powierzchni
kosmiczne spirale i odbicia gwiazd
wołanie pustki
krzyk samotności
i absolutna cisza

w płynącej wodzie
wiatr nieustannie
zapisuje swoje wiersze

Nic

nie mam już serca
zostało w kieszeni twojej marynarki

nie mam już wspomnień
schowałam je w najgłębszej
ciemnej szufladzie

nie mam niczego
co chciałabym zachować
na przyszłe dni

nie mam już nawet
siebie samej
gdyż bez ciebie
nie jestem sobą

czy odnajdę jeszcze
sens w rozbitym szkle
czy uwierzę w jutro

smutny anioł
powoli odwraca twarz

Dariusz Pawlicki

Minitraktat o skopywaniu grządek

*Chwała niech będzie dobroczynnej naturze,
która sprawiła, że rzeczy konieczne są łatwe
do zdobycia, a rzeczy trudne
do zdobycia nie są konieczne.*

Sentencja epikurejska

Ósmy października jest zarazem czwartym dniem skopywania przeze mnie grządek w ogrodzie mojej Mamy na Suwalszczyźnie. Ów ogród jest fragmentem dawnego pola mego Dziadka. Rozciągało się ono pomiędzy stodołą (śladami po niej są jedynie fragmenty fundamentów i wybetonowanej posadzki) a bagnem, które stopniowo zarasta lasem. Wiem z autopsji, jak również ze starych zdjęć, że rosły na tym polu, w różnych latach, ziemniaki, tytoń, żyto, mieszanka grochu z owsem. Jest to jednak przeszłość. A ostrze szpadla tnie i wydobywa na wierzch grudy ziemi, którą kiedyś odkładała na bok lemiesz pługa ciągniętego przez konia, zaś w późniejszych latach, niejednokrotnie, także przez traktor; oraczem był mój Dziadek, traktorzysta już ktoś inny.

Skopując owe grządki powracam, jak i wszyscy inni, to czyniący, do jednej z pierwotnych czynności, jakie wykonywał człowiek u zarania swych dziejów. Może nie należącej do tych najpierwotniejszych, bo za takie należy uznać zbieractwo i łowiectwo, ale niewątpliwie pierwotnej. Także narzędzie, którego używam, a mianowicie szpadel, należy do bardzo starych narzędzi. Pierwotnie zarówno jego część robocza, jak i stylisko, były wykonane z drewna. Wówczas nie nadawał się on jednak w ogóle do kopania. Do przygotowania gruntu pod zasiew służyło radło, zastąpione potem pługiem. Natomiast do spulchnienia ziemi dla obsiania jej warzywami używano motyki. To drugie narzędzie było zresztą wykorzystywane także do innych prac w rolnictwie. Ludzi jej używających możemy m. in. oglądać na egipskich malowidłach grobowych. Jeśli zaś chodzi o literaturę, to wspomina o motyce np. Wergiliusz w *Georgikach*. Nie ma tam jednak, choćby, wzmianki o łopacie.

Zastosowanie ostrza metalowego sprawiło, że spulchnianie gruntu przy użyciu szpadla (tak jak wykorzystanie pozostałych rodzajów łopaty do innych prac), stało się o wiele bardziej wydajne. W ostatnich latach przy skopywaniu grządek, jak też trawników, to bardzo stare, lecz wciąż znajdujące szerokie zastosowanie narzędzie, często jest zastępowane przez maszynę o nazwie glebogryzarka. Lecz rzeczą zmienną jest to, że łopacie, mimo, że od tylu wieków towarzyszy człowiekowi, nie nadano sensu symbolicznej

go. W przeciwieństwie do takich narzędzi jak np. radło/pług, sierp/kosa, także związanych z uprawą roli. Z tym, że w porównaniu ze szpadlem, związek owych narzędzi z produkcją żywności jest bardziej jednoznaczny, a przez to oczywisty. W przeciwieństwie do owego ręcznego narzędzia złożonego z drewnianego, bardzo rzadko metalowego, trzonka zwanego styliskiem, i szerokiego, najczęściej prostokątnego kawałka grubej blachy, które służyło i służy również do wielu innych celów.

Dokonując przemieszania wierzchniej warstwy ziemi, a wyrażając się precyzyjnie: skorupy ziemskiej, to znaczy gleby, mam zapewniony kontakt, po pierwsze, ze światem roślin (usuwam bowiem na bok np. korzenie skrzypu polnego i podziemne rozłogi perzu właściwego), a po drugie, dodatkowo, ze światem zwierząt; fakt, że światem specyficznym, gdyż nie zauważanym na co dzień. Ten drugi rodzaj kontaktu nie jest zamierzony, no bo chodzi o stworzenie jak najlepszych warunków dla wyrośnięcia konkretnych roślin. Lecz ciągle dochodzi do kontaktu z niewielkimi, jak też wręcz małymi istotami poruszającymi się, z większym bądź mniejszym wysiłkiem, a niekiedy nieruchomymi. Najczęściej jest on wzrokowy, czasami jednak ma miejsce poprzez skórę moich palców bądź rękawice. Ów świat zwierzęcy, z którym mam do czynienia, na grządkach bądź tuż pod ich powierzchnią, reprezentowany jest najczęściej przez pędraki rozmaitych gatunków chrząszczy, przez wiję, wieloszczety, dżdżownice, winniczki uśpione w zasklepionych muszlach. Rzadko, ale jednak, mam spotkanie III stopnia z ropuchą szarą (rzadziej nazywaną zwyczajną), nieco częściej z żabą trawną bądź moczarową. Odnosnie ropuch warto wspomnieć, że w nie tak jeszcze odległych czasach uważano je za pomocnicze ogrodnika. A owo przekonanie zaowocowało takim oto przysłowiem: Szanuj ropuchę w ogrodzie/sadzie, a starca w gromadzie.



Wszystkie organizmy żyjące w przypowierzchniowej warstwie gleby nazywa się

edafonem. W szerszym znaczeniu zalicza się do niego wszelkie organizmy przebywające w glebie; łącznie z drobnymi kręgowcami, takimi jak np. myszy, krety. Zaś w najszerszym pojęciu przez edafon rozumie się wszelką materiężywioną istniejącą w glebie, w tym także podziemne części roślin naziemnych.

Mając kontakt z glebą, a mówiąc obrazowo i wprost, grzebiąc (się) w niej, człowiek znajduje się bardzo blisko świata podziemnego. Tego świata, który w swej opiece/władzy, według starożytnych, ale nie tylko ich, miały, a nie wykluczone, że mają nadal, rozmaite bóstwa chthoniczne (gr. *chthónios* oznacza zrodzonego z ziemi, podziemnego). W religii Grecji starożytnej były nimi: Demeter, Dionizos, Erynie, Hades, Hypnos, Kery, Persefona, Tanatos. Ale w większości religii obecny był, odgrywał przy tym wielką rolę, kult Matki-Ziemi (owa bogini występuje pod rozmaitymi nazwami). Człowiek zrodzony z kobiety po swej śmierci powraca do Matki-Ziemi. Ów człowiek, którego ciało i kości, według mitów mówiących o jego genealogii, zostały stworzone z ziemi, gliny i kamieni. Zresztą starożytni Grecy kamienie uważali za kości Matki-Ziemi utożsamianej przez nich z Gają lub Demeter. Z kolei w hinduizmie żaba, o której wcześniej wspominałem (nie konkretny jej gatunek, ale w ogóle żaba) symbolizuje m. in. właśnie Matkę-Ziemie.

Jeśli mowa jest o bogach świata podziemnego, a tym samym i o tych krainach, warto wspomnieć o zwierzętach uważanych za psychopompy (gr. *psychopompós*), to znaczy za przewodników odprowadzających bądź przenoszących dusze do świata zmarłych (owymi przewodnikami mogą być także aniołowie, duchy, niektórzy bogowie np. Hermes). A mając na uwadze świat zwierzęcy krainy, w której znajduje się ogród mojej Mamy, wspomnę o dwóch takich przewodnikach: żurawiu i bocianie. Ptaki te żywią się bowiem stworzeniami żyjącymi w glebie bądź bezpośrednio na jej powierzchni. I z tego właśnie powodu oba przynależą do świata podziemnego.

Natomiast przykładem zwierzęcia uważanego za chthoniczne (wiele spośród nich zostało wymienionych powyżej) jest mysz (najprawdopodobniej chodzi o mysz polną, a nie np. o leśną). Symbolizuje ona „podziemną fazę łączności z sacrum”*. Myszy, nie tylko polnych, jednak nie napotykałem. Jeśli chodzi o inne gryzonie, to rozkopywałem nory

polników (nazywa się je też nornikami zwyczajnymi); ich samych jednak nie widziałem. Są one zwierzętami jak najbardziej chthonicznymi. Milczą jednak o nich mitologie grecka i rzymska, choć polniki żyją również na Półwyspie Apenińskim i na Bałkanach. Nie zauważają ich istnienia również rozmaite słowniki symboli. Zarówno one, jak i wspomniane mitologie, zadowolają się, po prostu, nadaniem wszystkim drobnym zwierzętom pokrytych futerkiem i obdarzonych długim cienkim ogonem, wspólnego miana „myszy”.

Skopywanie grządek, której to czynności poświęcony jest ten esej, ma wszelkie znamiona przyziemności. Jest bowiem wykonywane, mało że na powierzchni Ziemi/ziemi, to jeszcze w obrębie jej zewnętrznej warstwy, rodzaju nabłonka dostarczającego roślinom składników pokarmowych, jak też będącego dla nich podłożem. Do tego w grę wchodzi jeszcze bliskość, tego czy innego, Świata Podziemnego (fakt, że w przypadku górnictwa, szczególnie głębinowego, jest do niego jeszcze bliżej). Ale równocześnie przez swój związek ze światem roślin, bo to o nie chodzi, owa czynność wykonywana przy użyciu szpadla, łączy się z tym, co jest zaprzeczeniem owej przyziemności – ze sferą podksiężycową, z której pochodzą rozmaite opady, jak też sferą nadksiężycową – „dostarczającą” światła słonecznego (nie tylko zresztą jego). Innymi słowy, skopywanie grządek łączy się również z szerokim Światem, z całym, to nie jest przesada, Kosmosem.

Gdy w glebę wbijamy łopatę, a następnie grudę ziemi ją znalazła się na jej ostrzu, wkładamy, tyle że odwróconą, tam skąd ją wykopaliliśmy, kłaniamy się równocześnie Ziemi. Współczesny *homo_oeconomicus* nie zdaje sobie z tego jednak sprawy. Jeśli zwróci się mu na to uwagę, odpowie, że obsługa narzędzia o nazwie „łopata” wymaga... pochyleń i wyprostowania ciała. I że Nic za tym się nie kryje. Ale...

Ogród, jeśli chodzi o symbolikę, stanowi wspomnienie raju, ziemskiego raju. Jest także miejscem, „gdzie Natura [pozostaje] ogrodzona, ujarzmiona, wyselekcjonowana; las jest miejscem, gdzie Natura jest swobodna, samowładna”**. Ogród symbolizuje także refleksję, stanowi więc przeciwieństwo instynktów i odruchów. Uosabia, co jest wręcz oczywiste, porządek. Jest więc przeciwieństwem dzikiej przyrody.

W rozdziale „Gospodarka” *Waldenu czyli życia w lesie* Henry David Thoreau, filozof i eseista, napisał, że przekonał się, „że taniej wyniesie skopanie [...] gruntu łopatą aniżeli użycie wołów i pług”. Nieco dalej zapisał takie oto istotne dla jego poglądów zdanie: „Wszystkie niezbędne prace rolne mógłby człowiek wykonywać od niechęci latem, w wolnych godzinach i nie być przywiązany do wołu, konia, krowy czy świni (...)” [s. 78/79].

Dienniki wojenne, prozaika Ernsta Jünga

era, w czasie wojny oficera Wehrmachtu, ale przeciwnika Hitlera i hitleryzmu, zawierają i takie zapiski, jakich dokonał podczas kilku krótkich pobytów w swym domu:

„Po południu wykopywanie marchwi, selerów i czerwonych buraków oraz zanoszenie do piwnicy. Przy takiej pracy w ziemi człowiek czuje, jak powraca do zdrowia” (z 6 listopada 1942 roku).

„Gdzie wszystko jest znaczące, tam musi skończyć się sztuka zasadzająca się na różnieniu, na wyborze. Podobnie tam, gdzie nie byłoby chwastów, tylko same owoce, skończyłoby się ogrodnictwo” (z 23 maja 1943 roku).

„Tego ostatniego dnia urlopu sadziłem jeszcze groch, a z nim zasiewałem dobre życzenia dla Ernstla [osiemnastoletni syn pisarza pełniący pomocniczą służbę w marynarce wojennej

został aresztowany w związku z krytycznymi wypowiedziami na temat sytuacji w Niemczech]. Dzisiaj zagrzebuje się nasiona nie wiedząc, kto będzie zbierał ich owoce” (z 17 kwietnia 1944 roku).

Ogrodnictwo przynosi nie tylko zbiory w postaci warzyw, kwiatów, przypraw..., ale także ukojenie, co w wielu sytuacjach okazuje się równie cenne, pożyteczne.

Wśród stworzeń, które napotykam podczas skopywania ogrodu, jest ropucha szara, o której już wspominałem. Niezmiernie rzadko ją obserwuję, ale jednak. Jej każdorazowy widok sprawia, że powracam myślami do szkicu George’a Orwella *Kilka myśli o ropusze zwyczajnej*. A jest w nim m. in. mowa o tym, że widok owej ropuchy, podczas skopywania przez Orwella pewnej wiosny grządek, stał się impulsem do sformułowania przez niego takiej oto interesującej, i coraz bardziej aktualnej, refleksji:

„Jeśli [...] człowiek nie potrafi cieszyć się z nadejścia wiosny, dłaczegóż by miał być szczęśliwy pod rządami jakiejś utopii, w której wszelka praca podlega usprawnieniu? Jak spożytkuje czas wypoczynku, który zyska dzięki maszynom?”

I mając na uwadze także tę wypowiedź zawierającą dwa istotne pytania, raz za razem, wbijam w ziemię łopatę. Tak jak czynił to przede mną Orwell i mnóstwo ludzi przed nim. Ale wśród nich jedynie niewielu miało do czynienia z utopiami. Podczas wykonywania tej czynności towarzyszą mi różne przemyślenia, jak też przywołania z historii, tej bliskiej jak i bardzo odległej. Pośród nich są i takie, które znalazły w niniejszym szkicu. A on od samego początku nosił tytuł *Minitraktat o skopywaniu grządek*.

Dariusz Pawlicki

* Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2006.

** Tamże.

Lidia Kosk

Zaprzęg z cieniem

Część I

Migają myśli jak przelatujące nietoperze dźwiękiem przecinające powietrze. Punkciki. Niezauważenie minęło 16 lat – pracowitych, pełnych nieobecności najbliższego człowieka.

1. A życie się toczy

Zanim wymyślono stalowe maszyny w wojnach uczestniczyły konie.

Lidia siedzi na fotelu z podwiniętymi nogami, słucha, jak zaprzyjaźniony profesor o niezwykłej erudycji czyta jej jej napisany przez siebie odcinek historii wojen i wojskowości polskiej. To wielka ucztą duchową. Jest pisany i czytany tak, że daje satysfakcję słuchającej, uruchamia jej analityczny umysł. I oto niespodziewanie w takiej atmosferze Ligię ogarnia ból osamotnienia. Pojawiają się różne stany ducha, najdłużej utrzymuje się pragnienie ręki głoszącej jej skołataną głowę. Może to przypomnienie rąk tamtych mało znanych, a serdecznych dwojga starszków z ogrodu z wielkim drzewem starej gruszy z jej dzieciństwa. Jakże byłaby szczęśliwa, gdyby ją teraz pocieszyły. A tamten biały żrebaczek... jaki był, gdy stał się dorosłym koniem? Może taki, jak biały rumak u Ross, znajomej córki Danusi, którą odwiedziły po drodze, w czasie podróży po Pensylwanii. Jakież ten koń u Ross był piękny, gdy wyginał szyję, patrząc różowymi oczami, i sięgał wargami do Ligii, a ona, zachwycona, wyciągała rękę, by go pogłaskać. Ma z nim zdjęcie, które lubi oglądać. Żałuje, że wówczas nie odwiedziły Rossa ponownie, mimo serdecznego zaproszenia. Epizod, który pozostaje w jej pamięci obrazem przestrzeni zielonej trawy i pasących się na niej młodych koni. Ten sielankowy widok jawi się jej do dziś. Tak ją ciągnie do koni, a spotyka je podobnie jak ludzi, przypadkiem. W jakiejś mierze jej życie składa się z przypadków, stwierdziła po raz któryś, potrząsając głową dla odpędzenia napływających myśli. Dotyczyły spraw różnych, bliskich i dalekich, lecz jak już wiedziała z doświadczenia, krążyły wokół faktu, że została sama, bez najważniejszego w jej życiu człowieka. Samotnością wszechogarniającą, z bagażem pięćdziesięciu kilku lat wspólnie przeżytych z tak bliską osobą. Jego rąk nie oczekuje, nie niepokoi niedawno zmarłego męża, jego nieobecność obecność dawkuje ostrożnie, nie nadużywa jej. Przywoływanie jego pamięci też przynosi cierpienie, choć jej bliskie.

Uruchamia świadomość, wraca do czytanego przez gościa tekstu i omawiania tematu. Chyba coś zauważył; jest bardzo spostrze-

(Dokończenie na stronie 10)

Zaprzęg z cieniem

(Dokończenie ze strony 9)

gawczy i równie delikatny. A jaka realna treść tego historycznego pamiętnika. Ligia pomyślała, że w średniowieczu, o którym traktował tekst, działy się równie straszne rzeczy, jak w czasach współczesnych. Na obrazach przedstawiano wojnę twarzami małych przestraszonych dzieci, szukających ratunku w objęciach równie przerażonych matek, mogących tylko dzielić z nimi cierpienie. Albo twarzami rannych wojów, których ból odbijał się w oczach i sercach oczekujących na ich powrót matek. Realistyczne obrazy walk, ich okrucieństwo i dynamikę ilustrowały konie. Rozdęte chrapy, zbielełe, pełne strachu oczy, wypływające wnętrzości. Teraz to wszystko, powtarzalne szaleństwo wojen i zniewoleń, pokazują fotografie. Malarza zastąpił aparat fotograficzny, konie – sprzęt bojowy, armaty i samoloty myśliwskie – bomby, rakiety, gaz. I tylko człowiek niszczeni i zabijani, niszczący i zabijający, z umysłem chorym na totalitaryzm, terroryzm, a wciąż jeszcze człowiek, przetrwał. Przetrwać. Przewyciężyć ból obejmujący głowę, pełną do drętwiejącego serca. Wypełnić serce pamięcią. Może pamięcią dziecka lubiącego wyprawy do tajemnicznych miejsc. Znów poczuła dotyk rąk głoszących ją po głowie i pęd powietrza.

2. Białe konie w białym lasku

*Galop beztroskiego źrebaczka
w zaczerpniętym kręgu bliskości matki.*

Do lasku dochodziło się przez porośnięte soczystą trawą ogrody, z wielką gruszą pośrodku. Ligia jeździła z Tatusiem na wyprawę po okrągłe gruszki z tego drzewa, które – rozłożone na strychu – przemieniały się w krótkim czasie w smakowite ulegalki. Tam też czekała ich serdeczna gościna dwojga starszych ludzi. Ligia żałowała, że tak rzadko mogła ich odwiedzać. Była w tym jakaś tajemnica. Nie jest w stanie odtworzyć, jak się do tych ludzi zwracała. Może byli to jej dziadkowie ze strony tatusia? Ale przecież słyszała, że tamci zmarli w czasie epidemii tyfusu, czyli znacznie wcześniej, wówczas, gdy umarł jej maleńki braciszek Rysio, który wyszał chorobę z piersi zakażonej tyfusem Mamusi. Chorobę przyniosła do rodziny siostra tatusia. Mimo to za śmierć synka winiono nieszczęśliwą matkę, która już nigdy nie odzyskała radości życia. Rodzina tatusia nie lubiła mamusi prawdopodobnie za to, że odziedziczyła majątek po nieżyjącym ojcu. Reszta rodziny była raczej uboga. Mamusia nie szczyliła się swoim majątkiem, była zresztą bardzo skromna. Żle znosiła niechęć rodziny męża, która doprowadzała do nieporozumień w ich małżeństwie i spowodowała w końcu tę fatalną decyzję sprzedaży dóbr

pod Lubartowem stanowiących własność Mamusi, a następnie wyjazdu w okolice Lublina. Ligia ukończyła wówczas pierwszą klasę szkoły podstawowej.

Ale po kolei. Ligię kusił tajemniczy biały brzoźowy lasek. Myślała o nim często, aż wybrała się tam w tajemnicy przed rodzicami i siostrami. Wtedy właśnie przydarzyło się jej coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

Przebyła szeroki rów, łąki, kawałek lasu i wyszła na polanę pełną słońca. Przed nią jaśniał młody lasek, pośród bieli brzoź przemykały pojedyncze promienie słońca, jak gdyby zapraszały do zabawy w chowanego. Cienie i światło przeszkakiwały jak „zajaczki” puszczane lusterkiem na ścianę przez jej starszą siostrę. Ciekawe, co ona robi, kiedy jej powiem o mojej wędrowce, myślała Ligia. Będzie zazdrościł – a może już tu była? Czyż to nie ona mówiła, że za ogrodem z gruszą jest biały las? A za lasem szeroki rów z wodą, potem łąka z wysoką trawą, po której brodzą bociany. To pewnie jest jeszcze jakaś inna droga, z drugiej strony, pomyślała Ligia, rozglądając się po zielonej polanie. Nagle zobaczyła przed sobą małe źrebiątko, białe jak kora okalających ją brzoź. Podskakiwało, jakby grało w klasy, ale nie uważyła na nogi, by nie „skusić”. Obok skubała trawę biała kobyłka. Piękna jak na obrazie, pomyślała dziewczynka. Kobyłka podnosiła co jakiś czas śliczny łeb by zarzęć. To rzenie --- Ligia lubiła rzenie koni – było skierowane do źrebiątka, które odwracało się wówczas i przybliżało do matki. Ligia, też dziecko, podążyła w ślad za nim z wyciągniętą ręką. Wydawało jej się, że rozumie rzenie kobyłki. Żrebaczek obrócił się ku niej, popatrzył pięknymi dużymi oczami, po czym bryknął i rozpoczął galop. Nie namyślając się Ligia zaczęła bieć szybko i coraz szybciej. Biegli tak obok siebie wokół kobyłki. Ona przestała skubać trawę, popatrzyła i zaniepokojona zarżała raz i drugi, coraz głośniej, a dziewczynka i źrebak zataczali coraz szersze kręgi, jak gdyby przyspieszani tym rzeniem. Ligia biegła jak zaczerpnięta, jej jasna sukienka unosiła się obok białego źrebaka, niemalże stanowili jedno. A kobyłka matka rżała wciąż głośniej i głośniej. Wtem Ligię pochwyliły czyjeś ręce mocno i jednocześnie łagodnie. Oderwana od ziemi czuła, jakby ziemia jeszcze się kręciła. Ręce poniosły ją do miejsca, gdzie długa słomiana strzcha dachu łączyła się niemal z progiem sieni, przez którą przeniosły ją te ręce i umieściły na ławie między stołem a oknem.

Znad szarej długiej brody odezwał się melodyjny głos:

– Trzeba dać panience naparu z ziół, aby wzmocnić serduszek. Biegała za szybko i za długo, ścigając się ze źrebaczkiem. To wróżba na dalekie podróże, czeka ją...

Więcej już nie usłyszała, zapadła w półsen. Czuliła ręce głoszące jej włosy i kojącą rozmowę dwojga starszych ludzi, których uważała za babcię i dziadka. Nade wszystko jednak chciało jej się spać. Niespodziewanie pojawił się Tatus. Piła gorącą herbatę pachnącą miętą i macierzanką, a człowiek z brodą opowiadał o jej przygodzie z końmi. Na zakończenie powiedział:

– Jej trzeba strzec, sam ją wybrałeś na spełnienie twoich zamiarów, zamiast syna,

ona...

Nie słuchając dalej, tatuś wyniósł ją z izby i ułożył na wymoszczonej słomą furmance zaprzęgniętej w Kasztanek, której Ligia nie lubiła. Bała się jej zębów i kopyt. Staruszkowie odprowadzili ją, żegnając znakiem krzyża. Wóz potoczył się, coraz bardziej rozkołysany i turkoczący. Zasnęła mając przed oczami troskliwe twarze kochanych ludzi, których już więcej nie zobaczyła. Nie jeździła już tam z tatusiem, a po pewnym czasie wyjechała z rodzicami i siostrami w okolice Lublina. Potem przyszła wojna i koniec jej dzieciństwa. W tych strasznych i ciężkich dla ich rodziny czasach śnił jej się czasami tamci dobrzy, opiekuńczy, tak bliscy, chroniący ją ludzie. Z tamtego zdarzenia pozostała również ciekawość: co znaczyły słowa, które mówił do tatusia starszy pan z siwą brodą, który przerwał ten jej niebezpieczny bieg w zaczerpniętym kole. A wróżba, czy też przepowiednia o dalekich podróżach? Podróże. Ligia lubiła je zawsze i lubi do dziś, każdym pojazdem, łącznie z samolotem czy okrętem i ich kołysaniem. Myślała też czasem, co to znaczyło, że tatuś ją wybrał, tym bardziej, że często wymagał od niej więcej niż od siostr, a i na więcej pozwalał przy całej swojej surowości i wymaganiach. Tym Ligia tłumaczyła jego różne późniejsze małe ustępstwa. Była jego córeczką, darzył ją zaufaniem, wiedział, że nie zawiedzie ani jego, ani nikogo innego, w tym siebie samej.

W życiu, na co dzień nie wszystko było tak łatwe, piękne. Był jednak cel, do którego dążyła, potrzeba osiągnięcia go i nadzieja.

Lidia Kosk



„Powróciłem”

Dawno, dość dawno, albo i nawet bardzo dawno, nie miałem w rękach tak dobrego tomiku. **Jerzy Stasiewicz**, poeta, prozaik, dramaturg, powrócił. Tak, powrócił i to bardzo dosłownie, bo jego najnowszy tomik nosi właśnie taką nazwę: *Powróciłem*. A jeśli poeta powrócił, to z przyjemnością i ja wróciłem do Niego.

Po poprzedniej książce, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie, poezji i dramacie, książce o jakże filozoficznym tytule – *Po co komu krzyż*, (Warszawa 2015) i takiej samej filozoficznej zawartości treści, tym razem nie mogło być inaczej. Wiadomo było, że sięgając po tom Stasiewicz nie będzie się zawiedzionym czytelnikiem. Co najwyżej można zatopić się w magii słowa, w transcendentalizmie, czy też niezwykłe poważnych dyskusjach o życiu. *Dom – krwisty pot / dłoń szorstkie odparzone / ciepło, chleb i sól*.

Już w pierwszym zdaniu, we wstępie, który napisał Eligiusz Dymowski, możemy poczuć i przypuszczać, zresztą słusznie, że

czeka nas głębia przeżyć duchowo-intelektualnych. Bo jeśli czytamy, *przestrzeń poety jest nieograniczona*, to co możemy pomyśleć? Nad czym możemy się zastanawiać? Przestrzeń poety może zaprowadzić nas w najmniej oczekiwane miejsca. Przestrzeń poety może stać się wirtuozerią poukładanych słów. *Boże / szukam słów do wiersza* pisze Stasiewicz, *kontury w pnii / rażą twórcę* – można dokończyć innym wierszem.

Jerzy Stasiewicz podzielił książkę na cztery części. Moim zdaniem nie przypadkowo, nazywając je: *Wieczny koczownik*, *Zrozumieć*, *Jestem tu* i *Powróciłem*. Wszystkie z tych części żyją własnym życiem. Nie chcę interpretować całości, bo każdy z nas ma prawo do własnych odczuć, każdy z nas ma prawo integrować się z poetą w sobie tylko znany sposób. Każdy z nas w końcu ma możliwość, aby odbierać słowo swoim algorytmem. Lepszym, gorszym, ale indywidualnym. Każdy z nas może być swoistym *Duchem Wiatru*. I jak to pięknie poprosił Stasiewicz w autorskich, krótkich, refleksyjnych rozmyśleniach, może przesłaniach, *Duchu siądź z wędrowcem przy ogniu*” Duch siądzie. Duch siada po każdym przeczytaniu kolejnych wersów, strof, wierszy.

Oddech / światło / krok – ileż tu można wywnioskować, zrozumieć, ileż tu można zaczerpnąć energii? *Ciemność...* – to ona niejednokrotnie wtapia w nas wrażliwość, ból istnienia. Sprawia, że człowiek szuka dnia który minął, a może stara się pojednać z minioną dołą? Każdy z nas przecież ma świadomość, że czas płynie, że czas nieodwracalnie mija, każdy z nas, a Poeta w swojej przestrzeni dosadnie ukazuje naszą małość. Stasiewicz jest bardzo dosadny, a mimo tego delikatny, jest niezwykle dokładny, jakby rzeźbił w drewnie, a z drugiej zaś strony, jest Geppetem słowa. *Wyschnięte ciało pada na piach /... / sępy uczują / żebra szkieletu jedną się z ziemią*. Gargantuiczny? Nie, prawdziwy, racjonalny, może dosłowny, ale autentyczny. Trzeba mieć wiele odwagi by pokazać dosłowność człowieka. Trzeba być niezwykle doświadczonym w swojej życiowej wędrówce, aby móc powiedzieć prawdę. Niewielu to potrafi, niewielu to czyni, niewielu może pozwolić sobie na otwartość, jednocześnie nie bojąc się otaczającego pustką świata. Stasiewicz robi to po mistrzowsku. Z rozmysłem. Subtelnością. Delikatnością i prawdą natury. Bo jak mówi w wierszu: *Jestem tu. Powróciłem...*, *Martwa cisza kluje uszy*.

Reasumując. Właściwie powinienem ponownie wrócić do początku tomiku, do filozoficznych przemyśleń, powinienem bez skrępów zacytować Autora. Biję się z myślami, czy to uczynić, czy nie? Biję się z myślami i układam sobie w głowie Stasiewicza żyjącego podobnie jak Stachura. A moim zdaniem, ma ku temu predyspozycje. Nikt przecież przypadkiem nie pisze:

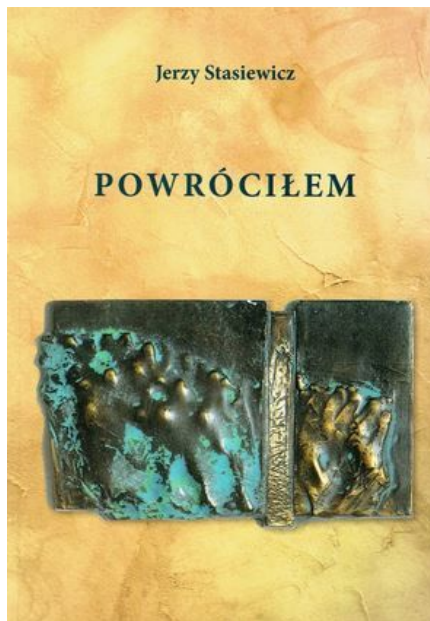
Wędruję od wczesnej młodości. Mrozy i upał dniem powszednim. Sypiam pod gwiazdami okryty jeno derką jak partyzant. Poduszka snop słomy, zagarnięte liście, czasem głaz.

Bywa, że przygarnie mnie pod dach świętobliwy gospodarz. Poczęstuje gorącą strawą.

Wysłucha wędrownych opowieści. Szczęśliwy mój los. Inny poszczuje psami. Wyzwie od włóczgów.

Czy powinienem coś jeszcze dopowiedzieć? Byłoby to już nietaktem. Jedyne co mogę, to podziękować Autorowi za dotychczasowe dokonania, prosić o więcej, czekać z niecierpliwością i być pewnym, że poniżej pewnego poziomu prawdziwy poeta nie zniża się. A jeśli tak jest, to kolejny tomik, będzie tym, który też chcę mieć w swojej bibliotece.

Arkadiusz Kiński



Jerzy Stasiewicz, *Powróciłem*. Redakcja: Jacek Lubart-Krzysica. Korekta: Agata Zuzanna Kofryń. Rzeźba na okładce i imprese rysunkowe: Marian Molenda. Wydawcy: Oficyna Konfraterni Poetów – 1986 oraz Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2018, s. 104.



Drugi aforystyczny wzlot Kazimierza Kochańskiego

Gdy jeszcze całkiem niedawno pisałem o aforyzmach **Kazimierza Kochańskiego** z tomu *Kartkując*, nie przypuszczałem, że tak szybko uzbiera on tyle nowych zaczepnych

myśli, by mógł się ukazać kolejny ich zbiór pt. *Kreślone kredą* (*notabene*, tytuły wszystkich książek poetyckich i żartobliwych autora zaczynają się na pierwszą literę jego imienia i nazwiska). I tym razem dowiódł, że aforyzm – także i mój ulubiony gatunek – jest zazwyczaj, poza poetycką grą słów i znaczeń, myślą kpiarską, przewrotną, ironiczną. Zwodzi naiwną pewnością na „zgnębne” manowce wątplenia. Zaleca się skojarzeniowym paradoksem, językowym humorem. Że to myśl galopująca na pstrej Fantazji. Perła konceptualnego dowcipu. Przy tym nie znosi przegadania, objaśniania, tłumaczenia. Musi trafiać w samo sedno celnie jak strzała Amora w serce. Kazimierz Kochański, znający zalety zwyciężonych form wypowiedzi, umie tę zwyciężość w myśli i języku wypracować i wycyzelować.

Zachęcam więc – jak czyniłem to przedtem w związku z *kartkując* – do na poły relaksowej koncentracji uwagi. Właśnie z uśmiechem, czyniącym ciężar gatunkowy spraw przychylniejszym, sprzyjającym osobistemu polubieniu.

W tomiku *Kreślone kredą* autor uporządkował swoje aforyzmy i sentencje alfabetycznie. Jest to praktyczne w wyszukiwaniu. Taki układ stosowało wielu zasłużonych dla gatunku twórców przy dokonywanych własnych retrospektywnych przeglądach, np. Joachim Glensk z Opola (składiną zasłużony antologista polskiej i światowej aforystyki, mający skatalogowany jej największy zbiór). Ale nie dajmy się niby-ułatwieniem pochopnie zwięść. Alfabet nie jest panaceum na idealny kompozycyjny porządek, bo już przy A czytamy: „Alfa z pewnością jest początkiem. Omega nie jest końcem, bo alfabet naszych porozumień musi mieć czas przyszły”. Żeby wybiec w ten czas, potrzeba nie lada sprytu. Może nawet trzeba zdobyć się na myśloobrazowe salto mortale. Przestrzega nas przed konsekwencjami takiego ryzykownego kroku najkrótszy ze zwyciężonych aforyzmów: „Cóż, że? Gdy?”, składający do jakże szerokiej refleksji – tego rodzaju np. co z tego, iż tak bardzo się staramy, zabiegamy, gdy nieunikniony, czyhający nasz koniec to pasmo nawet najbardziej twórczego wysiłku bezlitośnie i brutalnie przerwie.

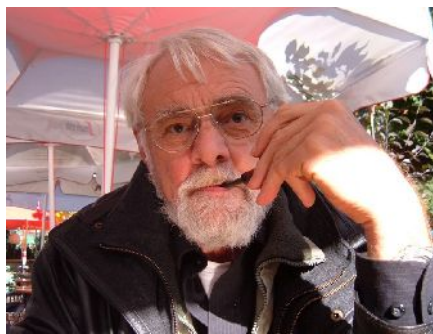
Kazimierz Kochański podejmuje swój ekwilibrystyczny trud w nadziei spełnienia, osiągnięcia i pozostawienia trwałego efektu. A Czytelnik swą poszukiwawczą zapobiegliwość musi wynieść dla siebie lekturowy plan. Autor go inspirująco-dwornie przestrzega: „Perspektywa wymaga dystansu większego niż długość perskiego dywanu”. Przy czym trzeba pamiętać (pomaga dyskretnie autor): „Poziom to bardziej wspanialsza niż pełzanie”.

Warto się na taki wysiłek zdobyć, podnosząc jednocześnie w sobie poziom adrenaliny zaciekawienia.

Stanisław Nyczaj

Kazimierz Kochański, *Kreślone kredą. Aforyzmy*. Ilustracje Barbary Kochańskiej. Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2018, s. 92.

Zamyślenia



Kromka czarnego, komiśnego chleba i karabin...

Mówi się, że czas jest pustką oddzielającą nas od tego, co było, jest zaledwie częścią wieczności, która może nam się tylko przyśnić. Odkąd pamiętam, zawsze usiłowałem zapisywać to, co przeze mnie przepływało. Żyjąc wiele lat na emigracji, strumień mojej świadomości i nieświadomości dziwnym trafem skierowany był w stronę ludzi, spośród których wypadło mi żyć. Mogło to znaczyć, że od jakiegoś czasu nie chciałem już słuchać opowieści o wszystkich złych Niemcach, instynktownie szukając dla jakiejś przeciwwagi wiadomości o tych drugich Niemcach. Bywa, że słowa w relacjach międzyludzkich stają się źródłem nieporozumień, chociaż bywają środkami porozumienia. Słowa często też sięją zamęt, fałszując obraz tego świata, więc uporczywie staram się unikać takich słów także w publicystyce. Spotkałem kiedyś Irenę Wierzbanowską-Kawalec, żonę wybitnego polskiego pisarza Juliana Kawalca, klasyka polskiej literatury nurtu chłopskiego. Tłumaczona była Jego twórczość na ponad 20 języków, w tym na niemiecki przez Karla Dedeciusa. Obaj już nie żyją. Otóż pani Irena napisała piękną książkę pt. „Do szczęśliwej rzeki dwa razy nie wejdziesz”. Prawda stara przecież jak świat. Jej ojciec Władysław Wierzbanowski był oficerem Legionów Polskich, potem oficerem Wojska Polskiego i ojcu też pani Irena poświęciła swoją książkę. Kraj lat dziecinnych... który z nas nie kocha owej dziwnej krainy, do której zawsze tęsknimy. Było nią niewielkie, kresowe miasteczko Berezne na Wołyniu.

11 lipca obchodziliśmy 75. rocznicę bestialskiej rzezi band ukraińskich w ponad stu wioskach i koloniach polskich, o czym tak pięknie reżysersko wymalował krwawe obrazy w swym filmie Wojciech Smarzowski. Otóż Berezne posiadało koszary ze szwadronem kawalerii, oficerów, żołnierzy KOP-u i ordynansów. Wojskowe życie i służba w ułańskiej legendzie. Pośród opisywanych tam wydarzeń, autorka przedstawia z rozrzewnieniem postać ordynansa imienia Heinrich. Przez ich dom przewinęło się wielu, ale w

pamięci pozostał tamten żołnierz. „Wysoki, barczysty blondyn, wiecznie uśmiechnięty”. Pochodził ze Śląska – z rodziny niemieckiej – „i prawie nie umiał mówić po polsku”.

Do służby w Korpusie Ochrony Pogranicza kierowani byli poborowi z zachodniej i środkowej Polski. Jak wyjaśnia autorka: „chodziło o to, aby ludzie ci nie nawiązywali kontaktów z miejscową ludnością i nie dawali wciągać się do współpracy z przemytnikami”. Otóż ukarana przez panią matkę mała Irenka zapamiętała słowa pociechy Heinricha: „Nie płakała, pojechała na jarmark i kupiła nowa mama”... Małe dziewczynki zawsze płaczą z byle powodu i te Heinrichowe słowa brzmiały w jej uszach: „Nie płakała...”. Na pociechę przy takich okazjach obdarowywał ją pajądą razowego chleba zwanego komiśniakiem, grubo smarowanego słoniną zmieloną z czosnkiem. Oczywiście ordynansi mieszkali w domu oficera, tam też jedli, otrzymując dodatkowy suchy prowiant z wojska.

Ordynansi zajmowali się osobistą obsługą oficerów, końmi, w tym przypadku Łuckiem do jazdy wierzchem i Hałastrą do bryki. Tym ostatnim zajęciem zajmował się ordynans Kwasigroch. Obaj, Heinrich i Kwasigroch, bardzo się lubili, wspominała pani Irena. „Boję się, że tragiczny los mógł sprawić, że te same ręce obu ordynansów dzielące się chlebem”, pisała autorka, „wyciągnęły się w parę lat później do siebie raz jeszcze, ale mierząc z karabinu. Heinrich, mieszkaniec Śląska, z pewnością trafił do armii niemieckiej, Kwasigroch, po tragicznej tułaczce po stepach Kazachstanu, mógł z armią gen. Andersa zawędrować do Włoch i wraz z żołnierzami V Kresowej Dywizji Piechoty walczyć pod Monte Cassino. Wśród obrońców klasztoru mógł być jego dawny przyjaciel Heinrich i w ręce, miast pajądę chleba, trzymał karabin. Z jednej i drugiej strony padły być może strzały...”.

Pani Irena pisze dalej: „Może obydwaj śpią w wiecznym spokoju na tym tragicznym, białym wzgórzu. Gdybym odnalazła ich groby, na obydwu położyłabym kwiaty”. Cóż, okazuje się, że najdrobniejszy czyn człowieka posiada sens tylko w czasie, nie poza czasem, a zatem uznajmy cenę tego czasu, choćby wydawał się nam pustką oddzielającą nas od tego, co było. Niby zwykła historia, a jednak umożliwia nam ona w sposób namacalny poznanie, jak to czas spotyka się z wiecznością, zaś dobro wyłamuje się z ciżby zła...

Kazimierz Iwosse



Kazimierz Iwosse

Białe wspomnienie

Biała cisza zwielokrotnione echem ciszy
Z niej polny zając czerpie swą odwagę
Wtulone zacisznie w ciszę miasto śpi
Zatem i my stąpajmy cicho i z powagą

Nad starym rynkiem smugi białej mgły
Księżyc poświęta sęczy sino-błądą
Nad biel tej nocy-jeszcze bielsze sny
Na kamieniczki ornamenty białe kładą

Biel wspina się po kościelnej wieży
Tkając firan muślinowe smugi
Srebrzyście białe rogi gwiazd się jeżą
Bielą się nasze cienie – jeden drugi

Nad biel tej nocy nie znajdziesz rady
Rosiście bielą się wyboiste bruki
I po nas pozostaną tutaj białe ślady
A od bieli zabielać się czarne kruki



Izabela Iwańczuk

Podróż dziewicza

dokąd tak ślepo na przełaj
pytasz ostre słońce
w stylu Joanny Krupy
zakładasz okulary muchy
o życie grasz nie uciekaj

motocykl mknie z prędkością światła
bębenki grają marsza

idziesz łuskasz myśli groch
wyprzedzają ciebie rowery auta statki
bitwy lądowe powietrzne morskie ataki
pancerniki niszczyciele krążowniki
w pełnej gotowości

wilki morskie łakną ciszy morskiej
kapitan śni o dziewiczym rejsie
po oczku wodnym z liliami

zatrzymujesz się
w gęstym świetle
gaśnie owczy pęd

Kozetka (37)



Królowa nie może być naga. Szmata czasu

Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi.

Henryk Sienkiewicz

Joanna Friedrich

Urodziny. Czas prawdy. Bo albo się rodzisz – albo umierasz. Natura nie nauczyła nas niczego innego, a i religia przypomina o rachunku sumienia.

W rachunkach, jak już wiemy, nie jestem najlepsza („jeden, dwa, pełno” – tak mówi, że liczę, moja „połówka”). No, ale powiedzmy, że jestem krawcową i dostałam następną „szmata czasu”, materiał życia.

Tak krawiec kraje, na ile mu materii staje, więc ile? Jeden dzień? Tydzień? „Pełno” lat?

Sęk w tym, że nie wiemy, jak długo będziemy żyć.

Jak w tym świetle wygląda grymaszenie za młodu, że nie ma się pałacu i księcia z koniem?

Tym głupiej wygląda grymaszenie „w pewnym wieku” na każdy inny temat.

Ok. Więc głupi się rodzimy i głupi umieramy. Też mi nowość.

A co roku chcę czegoś nowego.

(Jak w modzie i w naturze.) Urodziny to mały Sylwester, pijesz swoje zdrowie i „czekasz na nowości”. Z tym, że jeśli „nowością” na pewnym etapie nie będzie zmiana w Tobie, to pozostanie, jak mawiał Hłasko-Cynik:

„Nuda i głód”.

Jak więc tym razem się zmienię? Ostatni rok przed czterdziestką – mam być cicho, czy powinnam zaszaleć?

Ryczącą czterdziestką będę za rok. Nie wiem, kto tak powiedział, ale wie to nawet mój pies (licząc w psich latach, też za rok skończy czterdzieści).

Czyli – wyciszyć się, okroić, powsadzać fałdki w kontrafałdki, a kompleksy w ultraplexy. Zaprojektować tę hacjendę – swój dom – życie od nowa.

A może: zastawić się, postawić się – to też umiem, przecież jestem stąd, z tej ziemi i sroce spod ogona nie wypadłam...Rozwinę swój pawilon ogon już od rana, tak, że panom śmieciarzom gałki oczne powypadają.

Nie będą już do mnie tak ładnie machać, jak marynarze na odpływającym statku, tylko będą do siebie mówić: „Wiejemy!”

Będę mówić i pisać na co mam ochotę, ubierać się wieczorowo, każdy wieczór będzie moim panińskim, a każda niedziela „weselem”. Przebiję „Wesele” Wyspiańskiego i przepiję Himilbsbacha, co noc śnił mi się będzie parkour, a reszta snów będzie tak pikantna, że wstyd o nich pisać, chociaż przecież z definicji są nieprawdziwe. Ale: moje. Prawda, czy nieprawda? Mówić, czy milczeć?

Co jest prawdą, a co kłamstwem: „W moich badaniach na temat fabuły kłamstwo i prawda grają często pierwsze skrzypce. Na czym zasadza się wola człowieka, aby prawdę zachować, odkryć lub ubarwić? Podobno prawdy potrzebuje duch. Ale psychika jest w lepszej kondycji, jeśli karmi się ją kłamstwem – już na początku – ale cieszymy się nim niczym słonecznym dniem przed burzą. Przecież po burzy i tak przychodzi słońce. Od kiedy zaakceptowałam kłamstwo, jako cechę „biologiczną” naszej rasy, żyje mi się lżej...”.



Chloé, resort 2019

...może wystarczy po prostu otworzyć szerzej oczy i nie bać się ich zamykać (a jeśli nie będę się bać ich zamykać, to czy nigdy „nie zamknę” i będę żyć wiecznie?

Małe bitwy, duże wojny. Walka o siebie ze sobą.

Czas wskazać kogoś „z tarczą”. W tym tygodniu jest to pani Natacha Ramsay-Levi z domu modeści Chloé. Jest ewidentnie na wznoszącej. Bo życie to trochę fala, trochę parkur, trochę krawiectwo. Moda, natura, kultura.

Na jaki styl stawiasz w tym roku? Tego lata? – bo dla niektórych liczy się tylko ta pora (vide: „Faceci szukają kobiety na lato, kobiety – mężczyzn – na lato.”). Pora rozkwitu – reszta jest dla koneserów (koneserek).

Być może łatwiej pani Natachy trzymać lejce w tym parkurze, ze względu na końskie motywy w kolekcji.

Nie jestem Freudem, ale, jeśli nagminnie śni mi się parkour, to w końcu umiem dojść do wniosku, że musi to mieć związek z drugą odsłoną macierzyństwa w moim życiu.

Joanna Wicherkiewicz

* * *

złe kobiety
mają blade twarze
czerwone oczy
nadużywają też i bezradności

złe kobiety
rozmawiają ze ścianami
tak łatwiej zachować tajemnicę

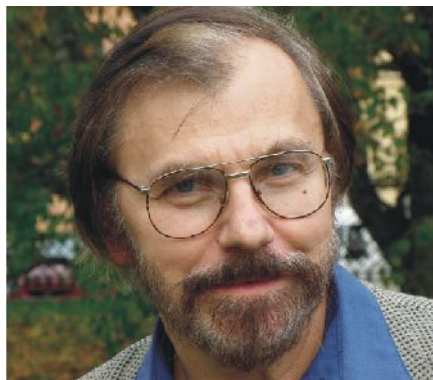
złe kobiety przeganiają z kryjówek pająki
robią miejsce na hiobowe wieści
kredowymi godzinami wsłuchają się w
melodię klatki schodowej
idzie
nie idzie
idzie
nie idzie

w domach złych kobiet
szybciej gaśnie światło
ciemność nie taka znowu straszna

* * *

w Santa Maria della Concezione
krypta ze szczątkami życia
bracia Kapucyni już po drugiej stronie
tam gdzie się przeszłość nie kłóci
z przyszłością o teraźniejszość
w Santa Maria della Concezione
czas ma zapach kości
wschodów i zachodów słońca
bieszczad i głodu
wojen i pokoju
rozmów i ciszy
w Santa Maria della Concezione
w chłodzie posadzki
słowa
kim jesteś dziś
oni byli kiedyś
kim dzisiaj są
ty kiedyś będziesz

Listy do Pani A. (121)



„Demokracja”

Droga Pani!

Nie chciałybym zaczynać znowu od narzekania, ale nasza współczesność wydaje mi się straszliwie tandetna. Także poetycka. Byłem na turnieju jednego wiersza we wrocławskim Domu Literatury. Brało w nim udział aż trzydziestu dziewięciu młodziaków. Wierszyczki raczej cienkie, manieryczne, niby to zbuntowane, ale bardziej ordynarne. Poza tym na jedno kopyto. Wychodzi taka poetessa na estradkę, kryguje się, czyta utworek z kluskami w gębie, potem złazi odsłaniając niekoniecznie śliczne uda. Zadowolona z siebie i z owacji czynionej przez jej „koleżeństwo”. Chłoptasie podobnie. Zadowoleni z siebie, buńczuczni, „zbuntowani”, chcą ruszyć „z posad bryłę świata”, a ona nic. Niektórzy pretensjonalnie albo dziwacznie ubrani, bo przecież są poetami. Niestety, talentu to nie przysparza. Te pozy, style, sposób bycia, poza nielicznymi wyjątkami, należą do młodzieżowych subkultur.

Spośród tej wcale niemałej gromadki jury nagrodziło cztery osoby. Zrobiłem sobie własny eksperyment: zacząłem prywatnie oceniać czytane wiersze, aby sprawdzić w jakim stopniu pokrywać się będą moje typy z typami jury. Nie podaję żadnych nazwisk ani też kolejności. Oto, co pisałem przed oficjalnym werdyktem na temat utworów potem nagrodzonych: „Grafomania”, „nowoczesna, bełkotliwa maniera, dlatego pewnie coś wygra”, „świetne, profesjonalne”, „subkulturka, przegadane, to nie literatura, są tylko ciekawsze momenty”. Czy ja czegoś już nie rozumiem? Czy wobec tego będzie Pani patrzyła na mnie jak na zwapniałego ramola? Od biedy mogę się jakoś zgodzić z decyzją jurorów, może poza uhonorowaniem tekstu, który nazwał grafomanią.

W połowie XIX wieku, w Warszawie, młodzi literaci przeprowadzali się do nowej stacji. Pomagali im w tym koledzy. Kilku niosło łóżko, inni garnki, w które uderzali niczym w bębny, najrozmaitsze meble. Robili przy tym wielki hałas, śpiewali, pokrzykiwali. Przechodzili przez Plac Zamkowy. W tym czasie w oknie komnaty zamkowej stał namiestnik, książę Michał Gor-

czakow, z adiutantem. Spytał go, co tam się dzieje. „To literaci się przeprowadzają” – odpowiedział adiutant. „Biedna ta polska literatura, skoro ma takich przedstawicieli” – skwitował namiestnik. Jednak literatura przetrwała. Przetrwa i współczesna, choć mocno preselekcjonowana.

Życie selekcjonuje również i nas. Odchodzenie... Zanik świadomości... „Sen na jedną stronę”, jak napisałem kiedyś, mając na myśli sen bez przebudzenia... To trochę jak po podaniu narkozy – nagle wszystko przestaje istnieć, i w tym samym momencie się zaczyna. A jeśli nie? Jeśli się już nic nie będzie działo? Nie zapali się żadne światło... I takie myśli mnie naszły po wiadomościach o śmierci naszych kolegów pisarzy. Jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że nie żyje Barbara Wachowicz, a zaraz potem Joanna Kulmowa i Andrzej Bartyński, poeta, sąsiad z łamów naszej „Gazety Kulturalnej”.

A jeszcze w uszach mam (i Pani zapewne też) głos Barbary Wachowicz opowiadającej o dziejach naszej literatury, historii; przedstawiającej biografie naszych najwybitniejszych pisarzy. Co za głos, co za dykcja, jakie dziś już niespotykane piękno języka!

Wiersze i opowiadania Joanny Kulmowej pamiętam z dzieciństwa, więc to nazwisko od moich najmłodszych lat nie było mi obce. Potem poznałem ją osobiście, kiedy pełniła funkcję prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Będziemy też pamiętać utwory Andrzeja Bartyńskiego, a czytelnicy „Gazety...” na czele z Panią, także jego refleksyjne felietony z cyklu „Rozmowy na globie – człowieka o sobie”. I tak hic transit gloria... nas wszystkich, każdego najdrobniejszego życia. Pomyślałem, zapewne nie bez racji, że odchodzą ci, którzy powinni dalej być z nami, natomiast zostają tacy, którzy nie zasługują na istnienie. Ale cóż, i nawet historii jest jakoś potrzebny.

Muszę jednak Pani powiedzieć, że z tym nawozem historii bywa różnie. Niekiedy staje się toksyczny. Wchodzę do Internetu i widzę najrozmaitsze wpisy, w tym inwektywy grafomanów pod adresem starszych, zasłużonych pisarzy, od których tamci powinni się jeszcze dużo uczyć. To są ludziki na wskroś głupie. Zazdrościcy, którym prócz włosów nic nie wyszło; którzy w ten sposób chcą być dostrzeżeni, bo w inny nie potrafią. Poza tym bezczelni. To było zawsze, ale wiedzieli o tym tylko pracownicy redakcji pism literackich. Dziś, niestety, mamy Internet, Facebooka, możliwości nieskrępowanej wypowiedzi, i nie chodzi tu o żadną cenzurę, ale pewien elementarny poziom.

Jednak uprawianie gleby literackiej przynosi skutki. Byliśmy z Anią na spotkaniu z twórcami, które organizuje we Wrocławiu Karol Maliszewski, pod nazwą „Dorzeczka”. Tym razem prezentowali się twórcy z Brzegu. Już w samo słowo „dorzeczka” oznacza, że nie jest to główny nurt. To poeci albo młodzi, albo starsi, ale jeszcze bez koniecznego szlif, a jednak obiecujący, warci pokazania ich twórczości szerszemu ogółowi. Poza tym patronat Karola Mali-

szewskiego, poety i surowego krytyka, gwarantuje poziom tych prób literackich. To były bardzo różne utwory, niektóre przeciętne, inne bardzo ciekawe. Słuchało się tego z zainteresowaniem. Widać jednak, że są to ludzie, którzy nad sobą pracują, nie wykazują postaw jedynie roszczeniowych, są dobrze przygotowani przez Maliszewskiego. Spotkania z tego cyklu, choć nieregularnie, odbywają się w środowisku wrocławskim. Pisałem już kiedyś Pani o podobnej prezentacji utworów poetów jeleniogórskich.

Muszę też wspomnieć Pani o „Ślimaku”. Zawsze lubiłem obserwować ślimaki, wodne hodowale w akwarium. Są to dla mnie bardzo ciekawe, sympatyczne stworzenia. Z tym większą przyjemnością poszedłem z Anią do klubu „Ślimak”, który prowadzi Aneta Dotka, na spotkanie z Beatą Patrycją Klary. To bardzo ciekawa, wciąż artystycznie rozwijająca się poetka. O poezji Beaty opowiadała inna poetka Justyna Paluch. W maleńkim pomieszczeniu zebrano się dużo osób, wywiązała się ciekawa dyskusja. Nawet się nie zorientowaliśmy, jak szybko minął czas w tej przyjaznej, literackiej atmosferze.

Oto namacalny dowód na to, że poezja nie potrzebuje stadionów czy poczekalni dworcowych... Należy ona do sztuk kameralnych, adresowana jest do ludzi wrażliwych, refleksyjnych, a nie do szeroki mas. Mówiłem o tym wiele razy, i będę to powtarzał do znudzenia. A że poeci woleli by stadiony, to już inna sprawa. Toteż w niko nie rzucam kamieniem...

Potem wystawa w Muzeum Książąt Lubomirskich „Nie/zapomniana Historia”. Znalazły się tam sześćdziesiąt cztery wybrane obrazy i portrety. Wszystkie autorstwa wybitnych malarzy, m.in. Juliusza i Wojciecha Kossaków, Jana Matejki. Duże wrazenie robi „Modlitwa w stepie” Józefa Brandta, a także Portret Marii Woźniakowskiej pędzla Henryka Rodakowskiego.

Okazuje się, że wybitne malarstwo także nie jest dla wszystkich. Przyszła na wystawę parka z dziecakiem, może dziesięcioletnim. Dziewczynka zaczęła dotykać obrazy. Na zwróconą uwagę, że tego nie wolno robić, owa rodzinka Kiepskich obrażona opuściła wystawę nie obejrzawszy jej wcale. Ale dziś „dymokracja je” i nikt ich nie będzie pouczał, jak należy zachowywać się w muzeum.

Jak widać, najlepiej przebywać z dala od własnego gatunku. Zatem życzę Pani dobrego wypoczynku na bezludnej wyspie!

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Wsi spokojna, wsi wesola...

Wakacje w pełnej krasie, piękna pogoda i w pewnym momencie tej letniej sielanki wydawało się, że będzie jeszcze bardziej radośnie, bo zbliżały się mistrzostwa świata w piłce kopanej. Niemal wszyscy mieszkający w dorzeczu Wisły, Odry, Bugu i Warty już widzieli naszych piłkarzy ze złotymi medalami na szyi, władze pewnie byłyby w stanie wysadzić w powietrze Pałac Kultury i Nauki, żeby tylko Plac Defilad miał większą powierzchnię (słyszałem, że miało świętować w centrum Warszawy nawet dwa miliony Polaków), ale niestety – stało się to, co musiało się stać – bolesny i przedwczesny powrót naszych skompromitowanych orłów...

Andrzej Dębkowski

Wiele by pisać na ten temat, dlaczego akurat podczas tej najważniejszej imprezy sportowej zabrakło polskim piłkarzom wszystkiego i w zasadzie byli jedną z najgorszych, jeśli nie najgorszą drużyną Mundialu w Rosji, ale chcę skupić się na czymś zupełnie innym, trochę pozasportowym, chociaż ze sportem pośrednio bardzo związanym...

Mniej ważne jest też dla mnie to, co opowiadali na temat naszej klęski nasi „wybitni” komentatorzy – dziennikarze, byli piłkarze i trenerzy. Większość z nich, jak z rękawa, sypała gotowymi pomysłami i systemami treningowymi, uzdrawiającymi polską piłkę nożną w przyszłości. Wiedzieli także niemal wszystko na temat pozostałych drużyn oraz ich zawodników – jakie mają przyzwyczajenia, co jedzą, co piją, jakie mają żony i kochanki, u jakiego fryzjera robią sobie włosy, co oznacza taki czy inny tatuaż na ich muskularnych ciałach, które będą wygrzewać na bajecznych plażach, gdzie woda czysta, a trawa zielona... Jakoś tylko nikt z nich nie

zająknął się czemu nie wyszło im, kiedy sami byli trenerami i piłkarzami...

Swoisty popis prawdziwej polskości dali jednak nasi internauci po finałowym meczu mistrzostw, w którym Francja pokonała Chorwację. Prawie cały świat kibicował Chorwacji, małemu, czteromilionowemu krajowi na Bałkanach, niemal wszyscy podziwiali chorwacką prezydent Kolindę Grabar-Kitarović, która w strugach deszczu dzielnie i dumnie stała podczas ceremonii wręczenia medali i ścisła – bez wyjątku – wszystkich piłkarzy, także Francuzów, autorów tego naprawdę świetnego widowiska. Jakoś nie przeszkadzało jej także to, że znalazł się parasol dla Putina, a nie miał kto ochronić jej i prezydenta Francji Macrona przed deszczem.

To, co nie udało się naszym piłkarzom, udało się naszym internautom – przenikliwym, szczerym w osądach, bezkompromisowym, w niczym nie ustępującym swoim mistrzom dziennikarzom, komentatorom i fachowcom. Nasi internauci wiedzą najlepiej... Choć większość z nas pieje raczej z zachwytu niż z oburzenia nad zachowaniem prezydent Chorwacji znacznej grupie komentujących nie przypadł do gustu sposób, w jaki odnalazła się podczas mundialu. Tego wielkiego, stricte męskiego święta, na którym dla kobiet miejsca nie ma (FIFA wydała nawet zakaz pokazywania w telewizji pięknych kibicek na trybunach) – nawet jeśli są głowami krajów, których reprezentacja gra w finale. Bo zawsze zrobią coś złe. Przyjdą. Będą kibicować. Napiją się alkoholu. A na końcu (tutaj oryginalne wypowiedzi naszych fachowców: he, he, he) – wylądują w męskiej szatni.

– Ciekawe po co tam poszła? – napisał jeden geniusz sportowej komentatorki.

Inny zauważył, że „lepiej poszłaby do kościoła, a nie włączyć nagim chłopom do szatni”.

Chorwatom jakoś to nie przeszkadza, wprost przeciwnie, są dumni ze swojej prezydent, że jest jedną z nich, taką normalną kobietą. Natomiast Polakom tak, że prezydent Chorwacji bawi się dobrze, pije, wpada do piłkarskich szatni (i nic dziwnego, bo babki z fajnym biustem to babki rozrywkowe) i że ma takich ochroniarzy, którzy nie zabierają ze sobą parasola i pani prezydent mokła na deszczu.

Co na to Polacy? Polacy na to: he, he, he. Potrafią tylko głupio, dziko, rubasznie i po chamsku wszystko wyśmiać. „Poszła do męskiej szatni, he, he, he”. „Tam chłopaki brali prysznic, he, he, he. Pewnie strzelali jej karne w tej szatni, he, he, he”. Skąd u nas takie chore skojarzenia? Wystarczyło jedno: Kolinda Grabar-Kitarović jest kobietą. A jeśli kobieta, to kojarzy się z seksem... Jakby tego było mało, że jest kobietą, według polskich „komentatorów” dopuściła się jeszcze jednej zbrodni. Internet obiegiło kilka sesji, na których jakoby jej imponujące wdzięki są ledwo przysłonięte przez bikini. Nic to, że później obecność pięknej pani prezydent na obu seriach gorących fotek została zdementowana. Ważne, że jeśli w polityce jest jakaś kobieta, a do tego jest seksowna i zachowuje się naturalnie, a w dodatku lubi spędzać czas z

piłkarzami, to musi być, delikatnie mówiąc, rozrywkowa. Mówią to wszystko przeważnie ci sami ludzie, którzy mają „obsesję wstawania z kolan”. Tym śmieszniej było, kiedy okazało się, że do tego wszystkiego na mecz poleciała rejsowym samolotem. Cóż za zenująca reprezentacja dumnego chorwackiego narodu!

Na takich ludzi, robiących świetne kariery w międzynarodowej polityce i doskonale odnajdujących się na dyplomatycznych czerwonych dywanach, mówimy czasem: białe kołnierzyki. Pewnie dlatego tak szokujące jest dla nas, kiedy zamiast białego kołnierzyka i bezpiecznego granatowego krawata widzimy piękną, dojrzałą kobietę, demonstrowującą przecież nie obsceniczne zachowania, ale normalne ludzkie odruchy i zwykłe zachowania. Przecież nieodmiennie głosujemy na tych, którzy obiecują nam władzę bliższą ludzkim sprawom, ale kiedy przedstawiciele tej władzy okazują zwykłe ludzkie emocje, reagujemy w popłochu wyparciem i negacją, a zwracamy się nagle w kierunku tych, co wolą... na kolanach...

W finale MŚ Francja pokonała Chorwację, ale kto jest największym zwycięzcą Mundialu? Rosja! Odniosła spektakularny propagandowy sukces, kraj dyktatury, bezpieczeństwa i więźniów politycznych niewątpliwie ocieplił swój wizerunek.

Kiedy patrzy się na Putina, który nawet nie pomyślał o dobrych manierach i zignorował moknącą prezydent Chorwacji, łatwiej zrozumieć, dlaczego dzisiaj niektórzy nasi politycy ignorują również inne zasady – społeczne, moralne, prawne, konstytucyjne... Przecież lepiej zajmować się jakimś gadem znad Wisły, który nadal przebywa na wolności – w schwytywanie którego zaangażowano wszelkie dostępne służby – niż rzeczowo przeanalizować dlaczego polscy piłkarze ponieśli taką klęskę. Odpowiedź jest prosta. W Chorwacji i innych krajach prawdziwy sport zaczyna się już w przedszkolu, a w szkołach jest niewyobrażalne, żeby ucznia z zajęć wychowania fizycznego mógł zwolnić rodzic. Od tego jest lekarz szkolny, to on decyduje, czy młody człowiek może ćwiczyć, czy też nie. Sport jest obowiązkowy, tak samo jak przedmioty związane z historią, kulturą i sztuką.

Po raz kolejny wylazło polskie prostactwo, jak – *nomen onem* – szydło z worka, taka prawdziwa wiocha, do której tak się niektórym Polakom spieszy.

Zdzisław Gozdawa i Wacław Stępień, polscy satyrycy, potrafili doskonale w sposób prostacki sparodiować wiersz Jana Kochanowskiego „Wsi spokojna, wsi wesola”...

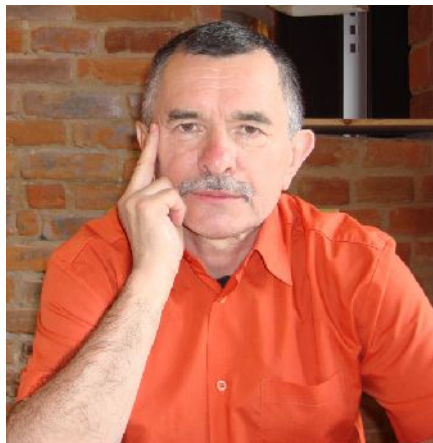
*Wsi spokojna, wsi wesola...
Kto twój czar opisać zdoła.
Nie ma już tej pięknej krasy,
dziś są całkiem inne czasy.
Dawniej chciałem to wyplotem,
choćbym wyszedł za stodołę,
baba zdjęła Ci bieliznę –
miałaś ekstra telewizję (...)*

I chociaż wiersz-pastisz napisany kilkadziesiąt lat temu miał wyśmiewać polskie przywary tamtego systemu, smutnym jest to, jak bardzo jest on aktualny obecnie...

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (29)

(fragmenty)



U ortopedy

U ortopedy – dwie damy w średnim wieku, zadbane i wyfioczone na błysk siedzą w poczekalni przez dużym lustrem i dzielą się dramatami na swoją miarę.

- No i jak ci się je udało odkleić?
- Co?
- No rzęsy.
- Użyłam tipsa.
- I co?
- I jedna rzęsa mi wyleciała.
- A mnie, wyobraź sobie, dwie...
- Aniechto...

Potem opowiadają, ile kosztowało jedną i drugą zagęszczanie rzęs:

- Mnie dwa i pół...
- A mnie trzy i pół tysiąca...

Ich dialog na trzy rzęsy – cały czas mniej więcej na tym samym poziomie abstrakcji... Abstrakcji? Tak, abstrakcji, bo obok pań siedzą i przysłuchują się dialogowi autentycznie cierpiący starszankowie, co z trudnością tu przykuśtykali i prawdopodobnie nie pojmują nic z dialogu „beZRzęsych” dam, które spadły do poczekalni jakby z księżycy.

Na zamku w Oleśnicy

Na zamku w Oleśnicy koło Wrocławia. Otrzymałem go we władanie, to nic, że tylko na dwa dni. Spotkanie autorskie łączyło się z wystawą malarskich prac dzieci zainspirowanych moimi wierszami. Nazajutrz koncert Józefa Skrzeka, z którego podobno czerpał jak ze studni jego młodszy kolega Stanisław Sojka, o czym nie wiedziałem...

Na zamku w Warszawie

„Dwadzieścia wierszy na dwudziestolecie SPP”, czyli wygłaszanie wierszy na Zamku Królewskim w Warszawie. Tak naprawdę zostało przeczytanych 29 tekstów żywych i

zmarłych poetów, począwszy od Miłosa, Herberta, Szymborskiej i Różewicza. Czytałem „Dyskurs z duszą”. Nie było ani ministra, ani wiceministra kultury, choć z gmachu ministerstwa do Zamku – rzut beretem. Dużo wierszy przegadanych. Z nie klasyków dobrze wypadła, przynajmniej w moich oczach, Adriana Szymańska, dowcipnie brzmiał Piotr Matywiecki. W drodze przez Krakowskie Przedmieście filozoficzna rozmowa z wąsatym Sarmatą Tadzem Zukowskim z Poznania o początku świata i takich innych imponderabiliach – ...to znaczy on „tokował”, a ja słuchałem. Na koniec zgodziłem się nie bez wahania, że jest podobny do Józefa Piłsudskiego.

Chóralne pochwały krytyków pod adresem filmu „Rewers” świadczą, że produkcja filmowa w Polsce jest na tyle mierna, iż na jej tle film, owszem niekonwencjonalny, zgrubny, dziwny, w miarę ciekawy, ale nic ponadto, zostaje okrzyknięty arcydziełem.

Cmentarze są pełne ludzi, którzy za życia uważali się za niezastąpionych (zasłyszane od Piotra Wojnarowskiego).

Sen z Wajdą

Sen: jestem na spotkaniu autorskim w klubie studenckim. Ma je prowadzić Andrzej Wajda. Jedni studenci wchodzi, drudzy wychodzą. Rozgardiasz. Jestem zdenerwowany, bo nie mogę zacząć spotkania. W dodatku – w drodze – zagubiłem gdzieś teczkę z wierszami. Wreszcie po kilkunastu minutach frekwencja się stabilizuje, zaczynam recytować z pamięci. Najpierw dwa króciutkie wiersze: „Światy” i „Wieszcz” potem „Spóźnione wyznanie” udaje się, oddycham z ulgą, ale w trakcie recytacji szukam gorączkowo w pamięci innych utworów, które znam na pamięć, wiem, że nie mogę się pomylić, bo to będzie absolutna kłapa, tym bardziej, że większość młodych ludzi przyszła nie na mnie, lecz na Wajdę. Nie mogę ryzykować, recytując coś, czego na sto procent nie znam. W głowie mam pustkę, rozglądam się po sali, czy ktoś nie ma w ręku mojego tomiku. Nie widzę, ale samobójczo rzucam pytanie do sali: – Czy ktoś z państwa nie przyniósł na spotkanie tomiku Józefa Barana? Zapada kłopotliwe milczenie. Andrzej Wajda jest zdziwiony moim zachowaniem; w końcu to jasne, że poeta, idąc na swój wieczór autorski, winien zabrać książki. I ja o tym wiem... Kłopotliwe milczenie trwa... Budzę się zły potem...

Sen z Jajcarzem

Śniło mi się, że w Turcji (dokąd zamierzam się wybrać) można sprzedawać kurze jaja po 500 dolarów za sztukę, ale dopiero, gdy jajo liczy sobie, bagatela, ponad 20 lat. Podobno żyje tam człowiek, który wzbogacił się na sprzedaży dwudziestoletnich jaj. Na-

zywa się Jajcarz. Śniło mi się nawet, jak to brzmi po turecku, ale zaraz po przebudzeniu zapomniałem...

Zdrada

W „Rzeczypospolitej” dyskusja o książce Artura Domostawskiego, który odbrażawia mit Ryszarda Kapuścińskiego. Mnie to w ogóle nie porusza, byłem pewny, że za tajemniczym uśmiechem pana Ryszarda, który wiedział więcej i czuł więcej, choć wrodzony takt i wrażliwość kazały mu się kryć za dobroduszną maską „ja-jestem-taki-sam-jak-wy”, musiało się kryć mnóstwo zagadek.

Nieomal narodowa ta dyskusja wokół „Kapuściński non-fiction”, bo dotyczy nie tylko uwielbianego Autorytetu, którego autor książki próbuje odbrażować i to w parę lat po jego śmierci... dotyczy też naszego niejednoznacznego stosunku do PRL (stąd podziady Polaków), jej historii, mechanizmów i szamotania się w sieci uzależnień człowieka owładniętego pasją naprawy świata, który pomimo błędzenia, różnych grzeszków i złudzeń ideologicznych potrafił przekuć własne życie w Wielkie Dzieło.

Po przeczytaniu pierwszych 150 stron nieprzyjemnych dla portretowanego zadzwoniłem w odruchu solidarności do pani Alicji Kapuścińskiej z krytycznymi słowami na temat autora książki, którego nazwałem zdracą. Dlaczego? Wszędzie, we wszystkich rozmowach i dyskusjach mieni się jako przyjaciel Mistrza Ryszarda. Jest to, jak mi się wydaje, dość wredna postawa.

„Broń mnie, Panie Boże, przed przyjaciółmi, bo z wrogami sam sobie poradzę” – czyje to słowa?

Pani Alicja powiedziała mi, że „uczeń Mistrza” podstępnie wkraść się w jej łaski, korzystał z domowego archiwum, twierdząc, że pisze książkę o zagranicznej recepcji i popularności męża, po czym stworzył nieprzychylną biografie, odstawiając także różne prywatne momenty z życia Ryszarda, nie zawsze mające merytoryczny związek z głównym tematem. Rzeczywiście rozdział o romansach Kapuścińskiego i źle układających się stosunkach z córką Zojką jest, mówiąc delikatnie, dowodem niedelikatności i gruboskońkości. W końcu żyje pani Alicja, żyje córka i autor mógł sobie dać na wstrzymanie (powiedzmy dwudziestoletnie) tych plotkarskich fragmentów rodem z brukowej prasy. Albo książka jest poważna, albo sensacyjno-plotkarska! Rachuby autora, że naród lubi sensacje, sprawdziły się, bo 45-tysięczny nakład został w mig rozprzedany...

Spodobało mi się, gdy pani Alicja powiedziała przez telefon, że miała szczęście żyć u boku wielkiego pisarza i żadna tego typu książka nie pozwoli rzucić cienia na pamięć o nim. Niemniej przyznała, iż nie jest zachwycona, że książka została wydrukowana, i pewne fakty – prawdziwe czy nieprawdziwe – z ich życia prywatnego przedostały się, bez zgody jej i córki, „w świat”... i to dosłownie – bo biografia ma być tłumaczona na kilka języków.

cdn.

Muzyka rockowa i poetyckie alegorie

Ten mini-tomik **Jerzego S. Fronczka** został zadeklowany muzyce i muzykom rockowym: Rogerowi Watersowi i zespołowi Pink Floyd, ale i również grupie The Doors. Tu nie jest ważne czy poeta był na koncercie tych zespołów: ważne jest, że ciągle ta muzyka go przenika, nieustannie oczekuje na kolejny koncert, który odbywa się w nim w związku z czym czuje głód fizyczny, ale i artystyczny, a wynikiem takiej sytuacji stają się kolejne wiersze inspirowane tą muzyką. W wizjonerskim wierszu otwierającym zbiorówkę – „Wizerunek III” czytamy zatem: *Ktoś mi wbił / ktoś mi wbił do mózgu / kawałek zardzewiałego pręta / z wojny w Wietnamie // Kiedy się obudziłem / na grobie leżały już kwiaty / a Roger Waters / kończył właśnie pisać / „Ciemną Stronę Księżyca”.*

Poeta zatem jakby współ-oddycha klimatem tego typu utworów piosenkarza, ciągle powracających w swej całości w jego pamięci. Efektem tego są kolejne wiersze mniej lub bardziej połączone ze znaczeniem i celem pierwotnym utworów grup Pink Floyd czy The Doors. Doświadczenie jednej sztuki muzycznej ewokuje więc inną sztukę, czyli poezję, która prócz wyrazu artystycznego stanowi również formę terapii poety. Zastanawiając się nad istotą barbarzyństwa, powątpiewając w obraz Boga narzucany przez kulturę i jej religijnych wyznawców w wierszu pt. „Witaj, The Doors” poeta pisze: *Gniewnym pomrukiem burzy / wysiadłem z pociągu / niebezpiecznie halsując pomiędzy / udami dziewcząt / w dzień skazany na bluesa / brudnego pieniądza ulicy / którym wytatuowanej jest niebo / w zamglonym od dymu / zaułku Podgórze // (...) Mały Kraków w swej dłoni / noszę przez ulice / witaj ściano Pink Floydów / na zielonym wzgórzu // słyszę głosy umarłych / krążące jak ptaki / słyszę pociąg co wiezie / Drzwi do miasta Wieczności...*

Nie trudno zauważyć, że chodzi to o Kraków i jego wyraz estetyczny oraz artystyczny, kiedy miasto oddycha muzyką rockową, nadając mu specyficzny klimat, w którym słowo poety współgra z jego duszą.

Przychodzi jednak refleksja – wszystkie alegorie inspirowane rockiem stają się coraz słabsze i mało inspirujące z latami. Fronczek w drugiej części, w utworze „Wizerunek VI” dokonuje jakby dekonstrukcji i przewartościowania tego świata, którego oczarowaniem żył wcześniej. Pisze więc: *Po tych kilku zbędnych / wyjaśnieniach pisanych / prozą wiersza wyszedłem / na krótki spacer / poznania dobrego i złego // Poruszając się cicho / kocimi ruchami marionetki / zgłębiając się w ciemny / korytarz sztuki / której zbutwiało*

szczętki / rozsypał wiatr // I dlatego nie widzę dla siebie już miejsca / w tym labiryncie nicości / co mógłby się znowu nazywać Pink Floyd / i jego złote marzenie / o różowej świnie / którą w wietnamskiej dżungli / zastrzelił / przechodząc tedy o świcie / łowca jeleni.

Poeta stara się zrzucić ciężar traumy wojny wietnamskiej, które odcisnęła się na jego pokoleniu, które próbowało pisać tradycyjne, liryczne wiersze, choć u podglebia duszy tlił się niepokój. Dzisiaj z latami stara się uwolnić od tego ciężaru, bo jego doświadczenie zdyskontował był właśnie w tej poezji. Niewątpliwie trudno jest dokonywać tak złożonej i wielowarstwowej interpretacji tego typu utworów Fronczka, który należy przebież do grupy wiernych uczniów Jerzego Harasymowicza z okresu funkcjonowania Werandy i właściwie całe swoje życie twórcze kontynuuje istotne motywy tej twórczości. Tomik pt. „Psychoterapia z różową świnką” świadczy o tym, że jego biografia artystyczna nie jest tak prosta jak to się wcześniej wydawało i warto ten problem twórczy przemyśleć i w innych przypadkach!

prof. Ignacy S. Fiut

Jerzy S. Fronczek, „Psychoterapia z różową świnką”. Wydawnictwo „Eksplorator”, Kraków 2017, s. 26.



Poeta, który wnikał w ciemność światlistą

*Kto wśród magnolii posąg wymyślił
na cześć rozpasanej bachantki
kto się miłością spił w nieprzytomność
poeta znad pustej szklanki*

Andrzej Bartyński,
z tomu *Uczta motyla*

Andrzej Bartyński urodził się 25 maja 1934 roku we Lwowie. W maju 1946 roku przyjechał do Polski. Wrócili też z obozów koncentracyjnych ojciec i siostra, cała rodzina spotkała się we Wrocławiu, gdzie zamieszkała na stałe. W 1946 roku rozpoczął naukę w szkole dla niewidomych w Laskach pod Warszawą. Potem I Liceum Ogólnokształcące we Wrocławiu. Maturę zdał w 1953 roku. Filologię polską ukończył na Uniwersytecie Wrocławskim. Debiutował w 1956 roku wierszem „Rapsod o Jesieninie”. Debiutancki tom wierszy ukazał się pod tytułem „Dalekopisy”. Od lat młodzieńczych,

od grupy Poetyckiej „Dlaczego nie”, przemierzył długą drogę. Przez heroiczne dzieciństwo, szkoły, studia, debiut prasowy i książkowy, liczne tomy poezji, aż do nagrody Ministra Kultury i Krzyża „Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski. Przez wiele lat kierował Dolnośląskim Oddziałem Związku Literatów Polskich był uczestnikiem Kłódzkich Wiosen Poetyckich – po latach wskrzesił tę imprezę jako festiwal „Poeci bez granic” w Polanicy Zdroju, którą przez lata prowadził.

Zmarł 16 czerwca 2018 roku we Wrocławiu.

Andrzej Bartyński był poetą, który wnikał w ciemność światlistą – siłą słowa i poetyckiego obrazu wyzwał ukrytą w mrocznych zakamarkach olśniewającą prawdę o człowieku. Jeżeli jest w tym człowieku coś trwałego, a zarazem mamy prawo świadomego wyboru – to skorzystajmy z tego, żeby ocalić „to” wbrew śmierci, przed bezwzględnie niszczącym działaniem czasu. „Śmierć kogoś bliskiego nie może znaczyć tego, co znaczy, musi przejść wiele etapów. Żyjesz, a wraz z tobą, w twojej głowie, w twoim rytmie żyją zjawiska, do których przywykłeś, mieści się w nich i ten co odszedł”.

Według fryburskiego filozofa proces bycia możemy nazwać „istoczeniem się”. A więc bycie jest „dzianiem się”. Bycie się toczy, skrywa się i w tym znaczeniu „istoczy się”. Dlatego można mówić o istoczeniu się poezji Andrzeja Bartyńskiego.

Pisanie było dla niego magią. Czym jest wobec tego magia? Czarami – miksturą ze słów, snów, symbolów, uczuć. Miksturą znaków czarodziejskich, które mają siłę oddziałującą na życie, które ma siłę tworzenia słowa – ożywia symbole. „Odkopaliliśmy z popiołów Pompeje (czytamy w jednej z książek poety) i chodzimy po nich. Rozmawiamy z umarłymi pompejczykami. Oni są w nas, a my w nich jesteśmy, I tylko czas nieśmiertelnie, niesłyszalnie, niewyobrażalnie szeleści wiosenną zielenią”.

Można powiedzieć, że wiedzieliśmy o tym, nie wiedząc, że wiemy. Dowiadujemy się tego, wiedząc, że wiedzieliśmy.

Poeta stojąc na gruncie filozofii egzystencjalnej – odkrywa jednocześnie w sobie i w nas „sekret piękna tkwiącego w człowieku”. Są to chwile niezwykle ważne w majestatycznym upływie czasu. Chociaż pośpiech i doraźność nie leżały w naturze poezji Bartyńskiego. Po prostu inny krąg tematycznego zainteresowania poety – nie wzrok w tym pisarstwie był najważniejszy – pozostała fascynacja barwą, dźwiękiem, widzeniem poprzez dotyk. Radość z możliwości obserwowania świata, uczestniczenia w nim. To jakby wyzwolenie poetyckiej nuty nastąpiło u Bartyńskiego. Poeta wierzył, że talent powinien wspierać się o filozofię – jeśli filozofia dokładniej opanuje umysł i uczucie – tym pełniej może się wypowiedzieć. Dlatego zawsze towarzyszyła mu w jego dziele (życiu) Krzysia – żona, muza i opiekunka:

*Szukałem Cię w czerwonej róży
ale Ciebie tam nie było*

(Dokończenie na stronie 18)

Poeta, który wnikał w ciemność światlistą

(Dokończenie ze strony 17)

szukałem Cię w zielonej trawie
ale tam tylko polny konik
szukałem Cię w teatrze w literaturze
w śpiewie i fortepianie

A Ty przysłaś jak anioł codzienności
ja otworzyłem Tobie drzwi
i teraz jesteś moim każdym dniem
czerwoną różą w dłoni serca

(„Mały tryptyk miłosny”)

Dla Bartyńskiego poezja nie jest żywiołem, lecz jedynie materią, w której nieustannie utrwalana jest rzeczywistość czasów poety. Widzi dalej, niż na to pozwala bezpośrednia przestrzeń słowa. Żeby zaspokoić pragnienie czytelników – poeta winien „być na wskroś autentyczny. A to zależy zarówno od wrażliwości twórcy i jego umiejętności otworzenia się na rzeczywistość, w której żyje, jak i od realistycznej oceny własnej pozycji w nieustannie zmieniającym się świecie Poeta pojmował życie jak najszerzej: fizycznie i metafizycznie. Był nosicielem prawd oczywistych i tych, których nie ma, ale za którymi twórca musi iść zawsze. Poeta wyznawał pogląd, że artysta jest jednostką wyjątkową zarówno na tle współczesnego, jak i dawnego społeczeństwa. „A teraz pisze, bo już wie albo pisze w tym właśnie celu, żeby się w tej chwili o całym świecie i o sobie, i o swoim wierszu czegoś nowego, nieznanego dowiedzieć”. (Leśmian w szkicu „Z rozmyślań o poezji”).

O szczególnym ukierunkowaniu poetyckich myśli Bartyńskiego napisał krakowski krytyk Jacek Kajtoch: „Buduje cały system antytez: sztuka i zagłada, miłość i śmierć, światło i mrok, białe i czarne, tłok i pustka, nienicość i nicość. Antytezy z różnych dziedzin i różnej trafności”. Zadziwiające, że człowiek, któremu zapewne nie przyszłoby do głowy żyć inaczej, niż żył – dla którego wszelka myśl o naprawianiu świata przez sztukę (rozprzestrzenienia się w sekwencji heroicznie zuchwałej woli) znajduje to, czego inni poszukiwali bez powodzenia. Już w roku 1951 Anna Kowalska w swoich dziennikach z lat 1927-1969 zanotowała: „rewelacja” siedemnastoletni chłopak (...) Bartyński wystąpił z wierszami. Chyba duży talent. Duża osobowość (...) ogromna siła liryczna”.

Ktoś mógłby powiedzieć, że życie Andrzeja Bartyńskiego (jak jego poezja) należy do stosunkowo spokojnych i bez wielkich wstrząsów. A jednak nie. Nad pokoleniem poety unosi się jeszcze powiew tragizmu. Bo kiedy jesteśmy w kręgu poety myślimy wraz

z nim. O świecie – ale poprzez sekwencję zdarzeń:

*nasz elementarz – ja pamiętam ty pamiętasz
Homer Chopin polna mięta
a Piłsudski Lwów – legenda
wojna chłopcy i dziewczęta
wojna wojna!
(...)
Czy pamiętasz?*

*Berlin Moskwa Westerplatte
Londyn Jałta Lwów i Katyń
dla jednych milionów – tragedie dramaty
a dla wybrańców wiosenne kwiaty*

(„Erato”)

Z poezją Bartyńskiego bywa podobnie jak z filozofią, pragnie zrozumieć rzeczy po to, by się do nich dostosować. Przeżył próbę ognia systemów filozoficznych, żeby w pewnym momencie stwierdzić:

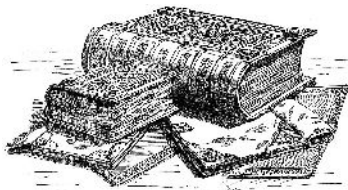
*Jedziesz pociągiem czasu
idziesz uliczką chwili
stajesz przed wystawą
siadasz na ławce w parku
po głowie chodzą ci różne myśli
nasz świat wewnętrzny*

Metafory i określenia wrocławskiego poety ukazują różne postawy i ich konsekwencje: opisując świat w dyskursywnym języku filozofii (przekłada to na język obrazów i pojęć) jest to strategia przetrwania „bo ociemniałym być poetą / znaczy dotykać świat daleko”. Bo dobro jest częścią tego świata. Najgłębszym uczestnictwem w człowieczeństwie. A więc poezja i dobroć „jest ona wyłniona / świata poetą Norwidem”. Przed laty Bogusław Kunda napisał: „ci, którzy znają Bartyńskiego, bądź tylko raz jeden mieli okazję zetknąć się z nim, wiedzą, że to człowiek niezwykle, o fenomenalnej pamięci, ogromnym odczuciu i... złotym sercu”.

Andrzej Bartyński niejednokrotnie zapraszał nas czytelników do odbywania podróży w przeszłość. Nie tylko do ukochanego „utraconego Lwowa, ale do czasów Sokratesa, Platona, Homera, Tacyty – naszego Słowackiego, Norwida i Chopina”. Nie były to przypadkowe kierunki, to była marszruta przemyślana i wykoncypowana.

PS. Widzę mojego przyjaciela Andrzeja Bartyńskiego: pasterza i filozofa gdzieś na syryjskich wzgórzach odkrywającego „jakąś aleksandryjską” formułę dowodzącą słuszności gwiazdnych prawd. A czas był tym, który posuwał się – powolny i niewyciężony – jak cień chmury w ruchu...

Andrzej Gnarowski



Andrzej Gnarowski

Trzykropek (parafrazując Szymborską)

Pamięci Andrzeja Bartyńskiego

Zawsze stawiam trzykropek. Kropką wyostrzoną
Przez światło spinam krystaliczną przestrzeń
Droga Pani kim jesteś – co przemawiasz

niewieściami

Tony i z dwornością taką?
A w puszczy kurhany leżą na złotych ikonach
Słońce w dół spada na świerki stare i na dąb
wyniosły

Antyfoną słowa Pani w łaskawości swojej:
„Wielka jest uprzejmość niewidomych
Wielka wyrozumiałość i wspaniałomyślność.”

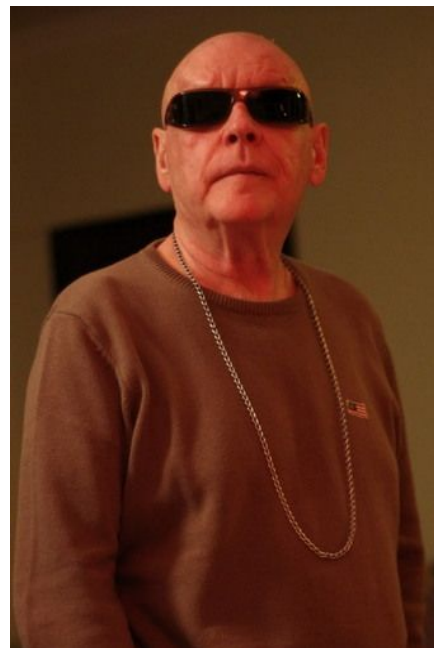
O Pani – a to pytanie wiele osobliwie:
„Co to takiego oglądać oczami?” i „Kto Oczy
stworzył?”

„Jakiego koloru jest Ziemia, gdy wzrok twój
wiruje?”

„Skąd to całe szaleństwo? I cóż to za sprawa?”
Tajemnica Naszego Domu przed oczyma Ducha
Głucha ciemność napełniała planetarne oczy
Odliczałem oddechy. Wszystko było tak samo
(źle sobie radziłem z wielkimi liczbami)
Kiedy krótki sen minął i wstałeś zbudzony
Na lwowskim podwórku (nie zachwianym żadną
ludzką mocą)

Światło sunące naprzód jak siostra za tobą szło –
W Laskach wchodziło na świętości szczeble
Teraz nad twoim miastem świt przegania chmury
A my jak istoty w nimbach. Dawne i nowe
ciemnianołowe

Z hipnotycznego snu



© Fot. Andrzej Walter

Andrzej Bartyński (1934-2018)

Wiersze z magnolią w tle

Książka ta składa się z dwóch części: poetyckiej oraz prozatorskiej, które spina jeden motyw, a mianowicie zdjęcie małej dziewczynki, przypuszczalnie autorki z okresu dzieciństwa, pod krzakiem kwitnącej magnolii. W części pierwszej znajdujemy pięć cykli wierszy noszących następujące tytuły: „Muzyka słów”, „Moje sny”, „Rozmowa z losem”, „Moje miast” i „My ludzie”. Część druga natomiast została zatytułowana: „Tańczące cienie liści”. Mowa tu o tomiku **Anny Pituch-Noworolskiej** i jej zbiorze poetycko-prozatorskim – „Portret z magnolią”.

W „Muzyce słów” poetka głosi pochwałę muzyki i nasycającej ją słów, które razem tworzą harmonijne pieśni odzwierciedlające w formie muzycznej porządek świata, ale i kosmosu ukrytych za ich pozornym chaosem, w który wplątany jest każdy człowiek bez wyjątku. Takimi kompozytorami – według autorki – są niewątpliwie: Edward Grieg, Jauqin Rodrigo, Georg Gershwin, Maurice Ravel i Izacc Albeniz, którym autorka poświęciła kolejne wiersze będące parafrazami ich przebojów muzycznych. Pojawiają się w nich znakomite obrazy miejsc, na tle których można nawet w akcie kontemplacji zapanować nad upływem czasu i pięścić emocjonalnie ich wyidealizowane elementy.

Z kolei w „Moich snach” dowiadujemy się, że poetka pozostaje nieustannie w pełni podziwu, szczególnie w aktach kontemplacji, odkrywając, iż motyle jak jej sny, wyprowadzają jej doznania estetyczne poza granice naszej rzeczywistości. Podobni „mrówkom Wszechświata”, przeżywamy lekki egzystencjalizm, bo wiemy, że w kosmicznym wymiarze nie zostanie po nas nawet ślad. Pomimo to autorka podąża śladami swoich snów i oczekuje kolejnych nowych dni, konkludując: (...) *Wciąż pod powiekami / Niedokończonego snu / Mojego snu. Stając „naprzeciw siebie” odnajduje swój portret w „odbiciu chmur”, choć ma świadomość, że te sny (...) milcząc odchodzą / z moim cieniem w dłoniach.* Często te sny przemieniają się w „drapieżne ważki”, by w „gwarze miasta” zagłębiać nasze lęki.

„Rozmowa z lustrem” – to kolejny cykl wierszy tej części tomu, w którym autorka sięga wyobraźnią w kosmiczne uniwersum, by się dowiedzieć, iż (...) *Jestem pyłem w kosmosie / Lśniącym tylko teraz, / Tylko dziś... // Gdy twoja dłoń mnie wskaże / Zgasnę / I nic nie wspomni, nie wskrzesi / Mojego blasku, mojego istnienia / jestem pyłem kosmosu...*

Zauważa również, że życie to niewygodna wędrówka, trudno ją obywać i „jakoś dotknąć”, a kiedy zauważa zbliżający się koniec, pyta los: „Czy podasz mi wtedy swoją dłoń?”. Postrzega miłość jak łąkę pełną jaskrów i stokrotek, czarnoskrzydłych jaskółek i jesiennych liści kasztanów. Wie przecież, że

pewnego dnia zgaśnie jej „zielone światło istnienia”, jak wcześniej bezimienna miłość ojca.

W „Moim mieście” zaś opisuje poetka wnętrze własnego domu z ciężkimi w oknach ram obrazami na ścianach, „kuframi wspomnień”, „bibliotekami sekretów”. W swoim mieście – Krakowie – postrzega nieustający ruch tłumów płynący pod prąd wiatru „prostującego ulice” i niosącego ją ku niebu. Chwilowe braki słońca tak lewitującą poetkę ratują od „śmierci Ikara”, pewnie za sprawą latających nad jej głową „aniołów Marca Chagalla”.

I wreszcie w wierszach z cyklu „My ludzie” autorka widzi masy ludzkie żyjące pomiędzy dwoma żywiołami kształtującymi ich codzienny byt: „wiatrami z gór” i „wiatrami z pustyni”. To one tworzą i szepczą legendy o nich i ich istnieniu, z którego „okruchy [ich] pamięci dziobią wróble czasu”, a oni mimowolnie czekają na przyłot „ptaków zapomnienia”. Realność bowiem we wszystkich swoich formach jest dla Pituch-Noworolskiej formą snu mniej lub bardziej wyrazistego, za którym stoi gra o życie ze swoim losem i przeznaczeniem.

Druga, prozatorska część książki, została zatytułowana – „Tańczące cienie liści” i zawiera szesnaście następujących mini-opowiadań: „Zapis jednego roku”, „Stary dom”, „Tańczące cienie liści”, „Palma”, „Szachy – gra o życie”, „Jaszczurka”, „Obrazy”, „Sople”, „Strych”, „Dłonie”, „Niedzielne kruszki”, „Niedzielne kino”, „Koncerty domowe”, „Tajemniczy lokatorzy” i „Portret z magnolią”. Zawierają one jakby mały pamiętnik wydobyty z pamięci autorki. Opowiadania te zawierają opisy powojennej rzeczywistości życia ludzi Krakowa, np. po przesiedleniu ze Lwowa, co miało miejsce w przypadku Pituch-Noworolskiej. Nie trudno zauważyć, że łączą się one z mocnymi przeżyciami emocjonalnym autorki, zagnieżdżonymi w pokładach jej pamięci, stanowiącymi i dzisiaj elementy jej inspiracji pisarskich, źródło tytułu tomiku, ale i cyklu tych opowiadań i stanowi spoiwo nadające książce całościowy charakter, określający jej horyzonty wyobraźni artystycznej, ale i inspiracje twórcze.

Ostatnie opowiadanie wyjaśnia poniekąd centralną inspirację pisarki i warto w tym miejscu przytoczyć jego początkowy fragment: „Pewnej niedzieli, niedługo przed dziesiątymi urodzinami dziewczynki ojciec zabrał dzieci do ogrodu botanicznego. Jak tłumaczył – to, że są chmury, że deszcz wisi nad głową, nie ma znaczenia, bo to co chce mi pokazać jest teraz, ani wcześniej, ani później. Wziął ze sobą duży parasol i aparat fotograficzny – niewielki, płaski. Dziewczynka pamiętała jego nazwę – Taxona i bardzo nietypowe położenie spustu migawki. (...) Z tramwaju do ogrodu było niedaleko. Na drzewach rozwijały się świeże jasnozielone liści. Zaraz za wejściem z kasą, widać było kwitnące tulipany – żółte, papuzie, czerwone, prawie białe i bardzo ciemne, uważane za czarne. (...) Ale nie to było powodem całej wyprawy. Niedaleko wejścia i budynku administracji ogrodu rósł krzew bez liści cały

pokryty dużymi białoczerwonymi kwiatami. Był nimi obsypany. Ojciec ustawił dzieci pod krzewem i zrobił kilka zdjęć. To magnolia – drzewo które rośnie daleko stąd w Hiszpanii, Argentynie, Brazylii. Tutaj jest okazem sprowadzonym specjalnie do ogrodu i ma kilkadziesiąt lat. Dzieci zebrały z ziemi kilka opadłych już płatków lśniących, mięsistych z żółknącymi brzegami. Chciały je zasuszyć, ale ojciec tłumaczył, że się to nie uda, bo są grube i twarde. (...)

W domu, w encyklopedii, dziewczynka przeczytała, że magnolia to roślina z czasów dinozaurów. I tu pojawił się problem bo dziewczynka nie umiała odczytać liczby wskazującej ile lat temu był okres, w którym żyły dinozaury. Próbowała sobie wyobrazić jak ta roślina przetrwała, jak wytrzymała ostre zimy w tym klimacie, w ogrodzie. Przecież w Brazylii nie ma śniegu ani mrozu. Kwiaty były mocne i grube, ale delikatne i bardzo pięknie kolorowe... Postanowiła, że dowie się więcej o tych krzewach, o kwiatach i dinozaurach. Kiepska pogoda, szare niebo nie pomogły w zrobieniu dobrych zdjęć – były nieudane.

Portret z magnolią pozostał tylko w pamięci”.

Nie trudno zatem zrozumieć, że przez tyle lat staje się on jako jej twór mentalny inspiracją jej twórczości literackiej z pozytywnymi, ale i interesującymi dokonaniem artystycznymi.

prof. Ignacy S. Fiut



Anna Pituch-Noworolska, „Portret z magnolią”. Wydawca: Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, Kraków 2017, s. 110.



Błyski



Blżej krwiobieg.

O debiucie Katarzyny Zwolskiej-Płusy

Debiut Katarzyny Zwolskiej-Płusy „Cud i Anomalia” to książka intensywna na niejednej płaszczyźnie. Podzielona na dwie zasygnalizowane w tytule części penetruje śmiertelną cielesność, przeprowadzając na niej akt wiwisekcji. Jest tu obserwowanie pęknięć i wewnętrznych broczeń, ale także wysiłek (poświadczony tekstami metaforycznymi), by to inferno interny, rozrastające się jak dzikie mięso, przełożyć na tkanekę tekstu.

Anna Dominiak

Introdukcją tomu jest wiersz „maud” sygnalizujący jeden z motywów zbioru – macierzyństwo, które będzie tu traktowane jak „wyodrębnianie naturalnych bliźni” – nowe życie jest rodzajem nowotworu, tkanki, która rozwija się kosztem organizmu matki. Druga część to już zapis zmagania z chorobą, doświadczanie grozy śmierci:

ten kto twierdzi, że słońce topi się w morzu,
nigdy nie siedział na dnie.

tutaj ryby mówią językami dzieci i aniołów
gładkimi jak śluz i ciągnącymi się
w wyciszonym monologu.

pożeram plankton osiadły na stopach.
to obrzydliwe i imponujące co potrafię zrobić
z nogami, gdy układam się w ostrydże jak w matce.

jestem żywicielką
guz rośnie jak ukwiał.

(„obrazek z sopotu”)

Ciało jest oczywistym bohaterem tego zbioru, od cudu zaistnienia po wszelkie anomalie wiążące się z biologicznym trwaniem. Skulone i zdeformowane, ale konkretne i dotykane, rodzące i rodzone, pokazane jako embrion i bliskie śmierci, z krętymi jak mroczne korytarze sekretami. To, które zadaje ból i jest ofiarą. Odrażające, ale też budzące czułość – zwłaszcza tam, gdzie poetka odnosi się do doświadczeń macierzyństwa:

dzisiaj wstajemy rankiem – jasne, rozpalone
gorączką jak słońcem. twoje włosy mają kolor
świtania, układają się na mnie, zlepiają mi rzęsy,
więc widzę tylko ciebie. to znaczy, chcę powie-
dzieć:
widzę ciebie jasno.

(„pierwsza jesienna infekcja”)

Choć nic nie jest tu oczywiste, nawet łożo
(pokrewne słowotwórczo z łożyskiem) może
być miejscem miłości i śmierci.

Ciało w ujęciu poetki to często opresja, ale
również podlegający fluktuacjom twór (nowo-
twór?), który jest i nie jest swoisty. To prze-
strzeń czarnej arkadii, w której życie jest zapo-
wiedzią śmierci. Narodziny przeplatają się z
umieraniem, dlatego w bliskim sąsiedztwie
obecne są motywy genezyjskie i wanitatywne:

jestem kobietą-matką z otwartym łonem
i guzami w formie guzików – tak ukazuję
się światu, bywa że ostatecznie.

(„isis, hekate, diana”)

Nad wodami życia, by posłużyć się genezyjską
składnią (mocno tu obecną), unosi się niezby-
walny duch rozkładu. Jednak tematyka mortua-
lna nie dyktuje poetce oczywistych fraz werba-
lizujących lęk czy bunt wobec praw natury.
Podmiot nie prezentuje postawy histerycznej,
raczej badawczą skrupulatność, której efektem
są racjonalne, mroczne wizje:

w przyrodzie nic nie ginie –
zaplatam naczynia włosowate
wokół każdej komórki
rozrastam się w głąb
wyrównuję braki

niedługo będę łysa
gdy maszynka uderzy za mocno
wewnątrz mnie wyskoczy guz
lub pocznie się życie

Opis doświadczenia macierzyństwa daleki
jest od konwencjonalnych idealizacji. Także
współistnienie matki i dziecka od pierwszego
oddechu (i pierwszego wiersza), przebiega w
bezdusznym szpitalnym sztafażu:

córcę

wpuść mnie dziecino w odwodniony świat małej
syrenki,
w usteczka pełne mleka. stukam obcasami już trzy
godziny.
nadal nic się nie dzieje.

wpuść mnie. czarnoksiężnik z SOR ma blaszane
usta
i słomiany zapał. nie po to został bogiem, by
uciskać brzuchy
małych ludzi.

otwórz oczy, pobiegniemy razem przez szmaragdy
linoleum i stal. prosto w moje pisanie.
prosto w twoje istnienie.

(„bajeczka”)

Krajobraz żył nie jest tu jednak przedmio-
tem opisu epatującego brutalizmami. W ogóle
frazą Zwolskiej-Płusy nie ucieka do łatwych
efektów, za to celnie trafia w punkty zawiadują-
ce niepokojem. Jest raczej wnikliwym, granicz-
ącym z obsesyjną fascynacją, opisem cielesnych
aberracji niż lamentem nad jego ułomnością.
Stąd chłodne, anatomiczne opisy:

zmiana zaczyna się z tyłu głowy, gdzie unosi się
skóra.
skóra unosi się na podstawie kości.
zmiana jest napięta, ułożona wzdłuż i za uszami,
nachodzi na czoło, nachodzi mnie.

(„iliada”)

Namnażanie się niechcianych komórek zo-
stało tu wyjątkowo trafnie skojarzone z naturą
drożdżowego ciasta i nawet słowa tradycyjnie
konotujące przyjemne doznania obciążone są
podskórną grozą: „róż tłuszczowej tkanki słod-
kiej jak cukier”.

Zwolska-Płusa umieszcza ciało na stole
prosektoryjnym i przykładając do niego chłod-
ne narzędzie językowej obróbki, bada, oddzela-
jąc włókno od włókna. W odświeżaniu żył,
odkrywaniu kolejnych warstw może ta książka
przypominać praktyki plastynacyjne Gunthera
von Hagens, z tą różnicą, że poetka estetyzuje
anatomie, poszukując dla niej najlepszej ekwi-
walencji w języku. Jej metaforyka jest zagęsz-
czona, często akwatyyczna, naturalnie oddająca
płynną niestabilność biologicznego trwania:

tamtego dnia Theodosia stała przywiązana do
portu,
oczekując aż znów połknie ją morze,
ale tym razem to ją połknęła mała dziewczynka,
która z otwartą buzią podpłynęła do niej na promie
wycieczkowym.

(„theodosia. gawęda o kłątwie”).

W poetycki świat Katarzyny Zwolskiej-
Płusy mocno wrasta topika biblijna, powracają-
ca jako echa genezyjskie, czy to w postaci sym-
boli (jabłko), czy też jako parafrazy („rzęsa
opada, nad wodami unosi się duch boży i mil-
czy”) bądź jako gry językowe („śliwka i sad
ostateczny”).

Warto zaznaczyć, że poetka potrafi łączyć
skrajne rejestry, które pozwalają jej nie tylko
zanurzyć się w grząski i niezbadany grunt
cielesności, ale także zdefiniować własną
świadomość somatyki i jej koniecznych prze-
istoczeń. Lektura tomu nasuwać może skojar-
zenie z Grochowiakową frazą o brzydocie,
która jest bliżej krwiobieg.

Ale nie jest prawdą, że ten tom to poezja
turpistyczna i trzewiowa czy maciczo-
waginalna. Zwolska-Płusa z dużą dojrzałością i
zaskakującą sprawnością warsztatową prze-
prowadza czytelnika przez egzystencjalny
dramat nabrzmiewania i rozpadu. Cieleśność
tego tomu jest totalna – ukonkretniona w treści
i formie.

gdy miała osiem lat stało się jasne i stało się słowo,
że ciało dzieci można nadużywać.

gdy miała trzynaście lat jej udo dało się objąć
dłonią. dłoń była jej własna, ogryziona jak kość.

gdy miała dwadzieścia lat jej ciało rozpadło się
i nie wróciło do siebie. stało się jasne i stało się
słowo,

że ciało kobiet można nadużywać,
że ciało jest posłuszne, gdy jest głodne
i że można je mrozić jak mięso.

gdy miała dwadzieścia pięć lat dowiedziała się,
że dziecko w kobiecie to nie zawsze ciąża,

mając trzydzieści lat ma usta czerwone i pieluszkę
córkę reumatyzm. już wszystko.

(„cud i anomalia”)

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszczkowskiej (141)



Fot. Andrzej Dębowski

Nie chroni też zdrowia człowieka godząc się na reklamowanie – co jest groźne dla zdrowia – lekarstw oraz fast foodów. Należy podkreślić, że związana z neoliberalizmem doktryna powszechnej prywatyzacji oraz reprivatyzacji wzmaga w ludziach egoizm, drapieżność i agresywność. Przynosi likwidację własności państwowej i spółdzielczej. Inne rozwiązania ekonomiczne niż neoliberalizm są u nas interpretowane jako sprzeczne z nowoczesną wiedzą.

Własność spółdzielcza rozwija cenne właściwości człowieka: życzliwość wzajemną, zdolność do współdziałania, chęć niesienia pomocy słabszemu, wrażliwość wobec nieszczęść innych ludzi, a więc zaszczenia zdolność do altruizmu, względą na innych oraz na całą wspólnotę.

Podmiotem własności może być jednostka, może być nim społeczeństwo lub grupa obywateli. Ani z natury człowieka, ani z właściwości dóbr materialnych nie można wywnioskować konieczności własności prywatnej. Odmiennie warunki powinny prowadzić do różnych form własności.

Ogólne dobro całego społeczeństwa powinno stanowić nadrzędny cel wszelkich rozwiązań ekonomicznych i społecznych. Prawo własności prywatnej jest tylko jednym z możliwych sposobów regulowania stosunków międzyludzkich. Człowiek nie jest samowystarczalny, potrzebne mu są przedmioty otaczającego go świata materialnego. Korzystania z dóbr materialnych nikt nie powinien być pozbawiony.

Oceniając rozmaite rozstrzygnięcia ekonomiczne, należy brać pod uwagę, że w warunkach gospodarki neoliberalnej następuje degradacja wartości pracy. Naczelną rolę pełni interes własny, dążenie do bogacenia się, a więc niższe wartości powszechnie oddziaływiają. Praca przestaje uszlachetniać, bo służy rozwojowi człowieka o ile jest zgodna z zainteresowaniami wykonującego ją. Bywa też praca, która pozwala osiągać poczucie sensu życia. Możliwe jest, by świat zmienił swoje oblicze, ale wymaga to pracy, która jest wyrazem żarliwości. Jednakże przedstawiciele neoliberalizmu głoszą, że rynek wymusza rodzaj pracy i wprowadza

restrukturyzacje zatrudnienia, zmuszając nieraz jednostki do wykonywania pracy niezgodnej z ich pragnieniami. W warunkach własności spółdzielczej wzmaga siły vitalne pracowników wykonywanie pracy, którą są zainteresowani, a także poczucie wspólnotowości. Daje to znacznie większe efekty niż praca o charakterze niewolniczym.

Życie w państwie ma sens z tego powodu, że człowiek nie jest samowystarczalny. Wpływ myśli arysto-telesowsko-tomistycznej sprawił, że powtarza się u nas od dziesięcioleci pogląd, że człowiek ma instynkty społeczne. Gdyby je miał, to żylibyśmy wszak w baśniowym świecie przesyconym wzajemną życzliwością, a nie w atmosferze wojen i zagrożeń ekologicznych wywołanych niepoohamowaną pazernością i egoizmem jednostek. Co więcej, w czasach liberalizmu ekonomicznego XXI wieku, negatywne właściwości ludzkiej natury urastają do wymiaru znót.

Pogląd, że natura człowieka ma charakter aspołeczny, przyjmują jako założenie teorie stanu natury. Na początku dziejów ludzkości przypominała gromadę pułstelników, bowiem każdy żył osobno. I po to, by nie doszło do wyniszczenia ludzkości w walkach, możliwych w razie spotkania, wywołanych brakiem instynktów społecznych – postanowiono w drodze umowy społecznej utworzyć państwo. Te teorie wyjaśniają, dlaczego ustrój demokratyczny ma być uznawany za najwłaściwszy. Otóż według wielu filozofów umowa społeczna gwarantowała, że utworzenie społeczeństwa oraz państwa nie będzie skutkowało ograniczeniem wolności jednostek, którą miał każdy człowiek w stanie natury.

Ta teoria stanu natury harmonizuje z liberalizmem ekonomicznym XXI wieku, który uprawomocnia egoistyczne dążenia do zysku, a więc zaspokajanie własnych interesów nie bacząc na dobro innych. Chęć przez to podkreślić, że liberalizm ekonomiczny, podobnie jak teorie stanu natury, opiera się o koncepcję człowieka pojętego jako istota aspołeczna, konkurująca z innymi, rywalizująca, by zyskać jak najwięcej dóbr materialnych dla siebie.

Liberalizm ekonomiczny kształtuje wizję człowieka samowystarczального – co mija się z prawdą – oraz ceni wyłącznie jednostki przedsiębiorcze, a więc nie pragnące pomocy ze strony państwa. Ludzie pokrzywdzeni, nie dający sobie rady w życiu – nie są godni zainteresowania. W rzeczywistości we współczesnych państwach demokratycznych, opartych o gospodarkę neoliberalną, tworzy się rzesza obywateli wyzyskiwana przez małą grupę jednostek bezwzględnie dążących do władzy i pieniędzy.

Zaostrza się podział społeczeństwa na pracodawców i najemnych pracowników. W tej sytuacji znaczenie przypisać należy związkowi zawodowemu. Znaczenie tym większe, że doktryna neoliberalizmu głosi, iż państwo nie powinno się troszczyć o los obywateli. A więc ta funkcja spada tym samym na związki zawodowe, ale te muszą być niezależne od pracodawców.

W Polsce siła związków zawodowych jest nikła. W poszczególnych zakładach pracy

funkcjonuje niejednokrotnie kilka związków. Nie tylko ich rozpad powoduje słabość oddziaływania. Otóż niejeden pracodawca uzależnia od siebie materialnie przywódców związkowych, by spowodować zaniechanie działań, które powinny związki zawodowe podejmować. Wytwarza się paradoksalna sytuacja, bowiem często przywódcy związkowi żyją wygodnie i lękając się utraty dochodów, nie dbają o krzywdzonych członków związku.

„Solidarność” jako związek zawodowy deklarowała przed 1989 rokiem niezbędność spełnienia w nowym ustroju 21. Postulatów. Działacze „Solidarności” zadbali o to, by spełnić dwa; transmisję mszy katolickiej w radio oraz wprowadzić wolne soboty.

Aktualnie o prawa krzywdzonych pracowników i osób emerytowanych, jak również chorych, upomina się najgłośniejszy OPZZ oraz ostatnio Piotr Duda. Zważywszy narastającą biedę, niszczenie gospodarki, uzależnienie ekonomiczne od innych państw, udział Polski w wojnach niezgodnych z naszym interesem – to proporcjonalnie do tych poważnych zagrożeń, nawet protesty związków zawodowych są słabe. Pracownicy w Polsce pozostają na łasce tych, którzy ich zatrudniają. Egzystują w lęku utraty pracy, więc boją się domagać podwyżek, jak również stosownego bezpieczeństwa w pracy. Wszak katastrofy w kopalniach, by podać ten przykład czy na drogach, są wynikiem nieinwestowania w bezpieczeństwo pracy górników, czy osób zmotoryzowanych. Jest skandalem to, że ginie na drogach tak wiele osób, bo nie wybudowano szos dwupasmygodząc się zarazem na tak wielki wzrost liczby samochodów. Odnosząc się do tego jednego ze skandalicznych zaniechań rządu, należy zwrócić uwagę na pozory troski o bezpieczeństwo, które przejawia się w budowaniu podejrzanie drogowych fragmentów autostrad, jak również instalowaniu kosztownych radarów do pomiaru szybkości, które służą głównie do pobierania pieniędzy przez policję drogową. Nie dziwię się sile oddziaływania ojca Rydzyka, który wpaja wiarę w Boga osobowego, który pomagać ma osobom krzywdzonym, a dobrych szybko zabiera do siebie.

Państwo nie powinno sprowadzać swoich funkcji do pobierania podatków i prowadzenia polityki zagranicznej. Nawet liberałowie XIX wieku podkreślali, że obowiązkiem rządzących jest troska o należyte wykształcenie obywateli oraz pomoc dla tych, którzy nie dają sobie rady. Zdawali sobie sprawę z tego, że spryt życiowy nie jest jakąś szczególną zaletą i że wielu wartościowym jednostkom niezbędna jest pomoc. Głosząc pochwałę własności prywatnej – liberałowie XIX wieku składali na państwo obowiązek zakładania szkół, budowy szpitali, dróg, mostów, gmachów pocztowych jeżeli by ich brakowało.

cdn.

Maria Szyszczkowska

Smutne miasteczka

W domowych albumach, albo zebrane w blaszanych pudełkach po czekoladkach i ciastkach, czasami jeszcze z PRL-u (tak, być może tych, które stały na stylowskich segmentach obok puszek po niemieckich piwach) trochę żenująco, nieco wstydliwie poukrywane są nasze uśmiechy – dzieci w stylonowych rajstopkach, pierwszych jeansach, sweterkach w tureckie wzory.

Nie spotkałem się dotąd z wystawą fotograficzną, która prezentowałaby historię wesołych miasteczek sunących od miejscowości do miejscowości, gdzie śmiechy dzieci przeplatają się z histerią, rozbawienie matek z aparatami fotograficznymi w rękach, ich – matek – niecierpliwością. Historia naszych kilkunasto-, dwudziestotysięcznych miast umyka bezpowrotnie. A przecież to jakże wdzięczny temat otwierający przed gośćmi nieistniejącej wystawy wachlarz emocji na twarzach, strojów powszednich i niedzielno-kościelnych, rzadko pranych, ubrudzonych smarami, piachem, błotem ortalionowych dresów magików-mechaników od karuzel, pań kasjerek w kusych spódniczkach, kabaretkach i dekoltołów eksponujących dawno temu minione wdzięki.

Dla dorosłych ta antropomorficzna część wesołych miasteczek jest zapewne nieco żenująca. Jestem pewien, że w dwudziestym pierwszym wieku, dla większości. Jakby wraz z roku na rok trudniejszym znalezieniem miejsca na kilkudniowy postój w mieście, między karuzelami a społeczeństwem powstawała wyższa, twardsza, najeżona kolcami i podłączona do prądu żelazna bariera. Odsuwamy się coraz bardziej. Z niesmakiem, z uczuciem, że chcielibyśmy natychmiast umyć ręce. Zaczynają nas drażnić ni to zamknięte przyczepy samochodowe, ni to campingowe, ni to ampepy z wiszącym pod zamglonymi od brudu okienkami praniem. Nie pomagają oddaleniu, nie nagina bariery antena satelitarna na dachu samochodu, ani taki sam smartfon w dłoniach faceta od karuzeli, jak w kieszeni Hugo Bossa, ani rzucony w to samo miejsce niedopałek papierosa... Coś mierzi, coś śmierdzi...

Czujemy się chyba trochę lepsi. Już nie ciekawi nas język czesko-słowacko-polski. Wizyta wesołego miasteczka nie jest wydarzeniem oczekiwanym od siedmiu – ośmiu miesięcy. Nie czekamy z utęsknieniem na pierwsze ciepło kwietnia, z którym być może przyjadą Czesi, choć bardziej pewnie, że dopiero w maju. Spełniamy obowiązek w stosunku do dzieci raz, dwa, może trzy. Raczej nagrywamy a nie fotografujemy. Jesteśmy po Majorkach, Tenerifach, Egipcjach, Turcjach i Chorwacjach. Jesteśmy bardziej wygodni i bardziej kulturalni, ponieważ i wygodę, i kulturę zapewniamy nam od lat władza samorządowa. Amfiteatr jak Orlik w każdym mieście. Tak samo wcale, albo pobieżnie sprzątany. Z niedopałkami, plastikowymi kubkami po piwie. Z podobnym wysokim ogrodzeniem. A w nim jesteśmy

odpowiednio, stosownie i komfortowo potraktowani, do tego edukacyjnie i wychowawczo, bo od kwietnia co tydzień kino plenerowe, koncerty disco, festyny przy piwie od sponsorów, pieczonych kurczakach, smażonych kiełbaskach, bigosach i grochówkach od burmistrza, starosty, prezesa i zarządu tej czy innej spółki walczącej z bezrobociem. A od czasu do czasu kształci się nas i wychowuje historycznie, gdy ulice miasta zamykane zostają dla kawałki militarnej w strojach od pierwszej do drugiej wojny światowej. By zaś cofnąć się w historii dalej mieszczaństwo zostaje zaproszone przez wieś. Na polach inscenizacja średniowiecznej rzezi i pożogi. I tak od jatki, przez masakrę, do ludobójstwa stajemy się bardziej oświeceni i bardziej kulturalni. Dyrektor biblioteki czyta scenariusz, ksiądz szyje kostiumy. Autorytety stoją za naszą edukacją. Nam jest dobrze, ponieważ lepiej oglądać, wygodniej tylko widzieć, ewentualnie posłuchać. Czytaniem nie zwracamy sobie głowy. Ot, taki trójwymiarowy telewizor z wydobywającymi się zeń zapachami. Przecież to zdrowo, wszakże na świeżym powietrzu! No i czas spędzony z rodziną!

A dzieci w wesołych miasteczkach takie same jak lata temu. Teatr ludowy, teatrzyk kukielkowy, teatr uliczny, akrobaci, magicy, szcudlarze, wesołe miasteczka, cyrkowcy. Artyści przyszedli pieszo. Wozy ciągnięte przez konie. Traktorami wydobywają się spaliny przez komin. Z miasta do miasta jadą campery. Zawsze jest tak samo smutno po występie. Bez względu na to, ile dziecięcego śmiechu zbierają artyści wraz z monetami. Czy przy świecach je liczą, czy lampach naftowych, czy elektrycznych żarówkach. Bledną wówczas i poważnieją ich twarze. Bergman wprowadziłby między nich cień śmierci. U Felliniego wiatr porwałby wczorajszą gazetę. Gasną kolorowe światełka i wesołe miasteczko nie wygląda już jak choinka czy lustro w teatralnej garderobie. Nazajutrz wszystko rozpali się na nowo. Tyle że już nie na asfaltowym placu pod Świętym Jerzym, służącym za miejsce dla widowni przy muszli koncertowej. Tam stawała od strony Daszyńskiego dorosła karuzela zwana łańcuchową. Można było zrywać liście z drzew, gdy już skrzyliśmy łańcuchy trzymające krzeselko, gdy już popchnęliśmy jej krzeselko w górę, jak najdalej, jak najwyżej, gdy się już zachłysnęliśmy nią, powietrzem i wirowaniem. Teraz hołdujemy tam poległym, pomordowanym i zamęczonym. Widok z diabelskiego młyna był wyjątkowy. Równy chyba tylko temu, który jest niedostępny z wieży kościołów (z jednego jest) i wieży ciśnień (w Giżycku jest). Jeziorko, stado ogierów, rozlewiska... Cud wiosny i jesieni na innym asfaltowym placu używanym przez resztę miesięcy jako plac manewrowy nauk jazdy. Teraz tam parking, toalety zwykle zamknięte, amfiteatr. Jeszcze miesiące temu na tej łące z zarośniętym stawem wymieniały się cyrki i wesołe miasteczka. Teraz na Poznańską wjechały koparki, zrzucano kostkę brukową i tony piasku. Gdy robiłem zdjęcia do tego tekstu z koparki wyszedł jegomość i spytał: „Gościu, kto ci pozwolił robić zdjęcia?”. Tak, teraz jestem tam gościem. Czterdzieści kilka lat temu przychodziłem tam z matką i ojcem się opalać. Jestem gościem. Gośćmi też będą mieszkańcy poniemieckich robotniczych

kamienic z za jezdni. Zgasną garderobiane żarówki. Sine, oszczędne światła latarni oświetlą betonową kostkę.

Od dwóch lat wesołe miasteczka rozstawiają karuzele, zjeżdźalnie, autodromy w ścisłym centrum miasta, na terenie, którego właścicielem nie jest ani samorząd, ani Skarb Państwa. Mam wrażenie, że miejski samorząd przewiduje (chyba słusznie) koniec objazdowych cyrków i wesołych miasteczek. Trochę szkoda, bo historia umyka bezpowrotnie... Chociaż... zdjęć naszych dzieci i nas samych ze zwierzętami, klaunami, na karuzelach, w samochodzikach mamy bez liku. Tylko czy nie są one na te czasy już za smutne?

Jerzy Lengauer



Monika Sznaucner-Telka

Rzeź na karłach

Rzuć kamieniem
Podpal stopy krzywych stóp
I głowę potocz w dobrą stronę
By zrozumieć

Rozbierz do goła ręce i nogi

W ciemności tylko człowiek
Zostaje
zawsze
Inny
Samotny

* * *

odurza mnie myśl
o ruchu we wszechświecie
poznaj tam Boga
i cudze marzenia zaczepione o aury i chmury
niedokończony westchnienia
niewypowiedziane miłości
– to stamtąd przylatują świetliki

a tu, już południe
i zmęczony sen
oddech, co wciąż gdzieś się wymyka...

* * *

Na liściu klonu
Jak na dłoni
Zapisane przeznaczenie
i czas
spędzony
na ziemi

wołanie
z głębości...
o cud życia w pełni

POEZJA

Irena Batura, *Minione, trwałe*. Projekt okładki i stron tytułowych: Wiesław Szumiński. Oficyna SIGNI (dawniej „Z bliska”), Warszawa-Gołdap 2017, s. 112.

Dariusz Bugalski, *Korespondent „Małego Przeglądu”*. Zdjęcie na okładce z archiwum Wojciecha Prażmowskiego. Zdjęcie autora: Anna Nowakowska-Bugalska. Seria *Poetycka*, tom 104. Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2017, s. 98.

Jerzy Jarniewicz, *Puste noce*. Projekt okładki: Wojciech Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 166. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017, s. 56.

Sylwester Seweryn Kołodziejczyk, *Księga Przysnów*. Na okładce zdjęcie: Agnieszki Cytackiej. Projekt okładki: Monika Kocot, Julian Czurko. Seria *Poetycka*, tom 105. Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2017, s. 40.

Paweł Kubiak, *Uwięź (moje różne)*. Obraz na okładce: Joanna Szczuka. Ilustracje: Joanna Szczuka. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2018, s.72.

Andrzej Kuśnierczyk, *Hastermanek, miłość i kartofle*. Projekt okładki i opracowanie typograficzne: Jarosław Leszczuk. Na okładce obraz Andrzeja Bohdana *Horoscope*. Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2017, s. 134.

Marcin Niewirowicz, *Dociekania strefy*. Zdjęcie i projekt okładki: Marcin Niewirowicz. Typografia: Michał Nakonieczny. Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2017, s. 40.

Gabriel Andrzej Szumilas, *Kaplica myśli*. Wstęp o. dr Jan Dezyderiusz Pol OFM. Projekt okładki: Sławomir Owczarek. Grafika w tomiku: Gabriel Andrzej Szumilas. Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2017, s. 64.

Szczęśny Wroński, *Czas rozpocząć*. Postłowie: Marcin Kania. Zdjęcie autora na okładce Małgorzata Jaźwa. Projekt okładki: Marcin Kania. Wydawnictwo i Drukarnia Tercja, Kraków 2017, s. 52.

PROZA

Joanna Bator, *Purezento*. Projekt okładki: Jasiak Krzysztof. Fotografia na okładce Tawanlubfah | Dreamstime. Wydawnictwo Znak, Kraków 2017, s. 288.

Jan Drzeżdżon, *Szalona Monika*. Zdjęcie autora z archiwum Marii Jentys-Borelowskiej. Obraz na okładce: Tadeusz Baranowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Wydawnictwo

FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzrzecz 2017, s. 88.

Czesław Dziekanowski, *Odyseja oniryczna*. Projekt okładki: Artur Paluszyński, w projekcie okładki wykorzystano grafikę: Tomasz Bohajedyna. Seria *Literacka*. ENETEIA Wydawnictwo Szkolenia, Warszawa 2017, s. 480.

Paweł Orzeł, *Nadgody*. Projekt okładki Anna Sztwiertnia. Wydawnictwo Papierowy Motyl, Warszawa 2017, s. 98.

Stefan Szczygłowski, *Chichot i rżenie, czyli choroba na śmiech*. Projekt okładki: Robert Rumak. Wydawnictwo Psychoskok, Konin 2017, s. 149, e-book.

Stefan Szczygłowski, *Sześć na dziewięć, czyli choroba na świat*. Projekt okładki: Robert Rumak. Wydawnictwo Psychoskok, Konin 2017, s. 121, e-book.

Stefan Szczygłowski, *Zakaz ruchu*. Projekt okładki: Robert Rumak. Ilustracje w książce i na okładce: Paulina Archambault. Wydawnictwo Psychoskok, Konin 2017, s. 58, e-book.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Rafał Marceli Blüth, *Conradiana*. Opracowanie oraz wstęp: Stefan Zabierowski. Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski. Towarzystwo „Więź” Warszawa 2017, s. 240.

Bernadetta Darska, *Młodzi i fakty. Notatki o reportażach roczników osiemdziesiątych*. Projekt okładki: Bogdan Grochal. Wydawnictwo Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UWM w Olsztynie, Olsztyn 2017, s. 472.

Cezary Gajewski, *Forma, funkcja i emocje. Afektywne aspekty semiotyki formy produktu*. Projekt okładki i stron tytułowych, opracowanie graficzne i projekt typograficzny: Cezary Gajewski. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2017, s. 174.

Paweł Machcewicz, *Muzeum*. Projekt okładki: Marcin Słociński. Zdjęcia na okładce: Krzysztof Mystkowski / KFP, Bartosz Bańka / Agencja Gazeta. Zdjęcie autora: Renata Dąbrowska / Agencja Gazeta. Znak Horyzont, Kraków 2017, s. 304.

Piotr Morawski, *Oświecenie. Przedstawienia*. Opracowanie graficzne: Grzegorz Laszuk. Seria *Teatr Publiczny 1765-2015*. Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2017, s. 592.

Tomasz More, *Pisma więziennicze*. Poprzedzone *Żywotem* Tomasza More'a napisanym przez Williama Ropera. Wstęp: Wojciech

Giertych OP. Przełożyli: Wojciech Giertych OP, Alicja Makowska, Wojciech Morawski OP, Andrzej Ponikowski OP, Leszek Ruszkowski, Stanisław Tasiemski OP, Wojciech Unolt. Okładka i karta tytułowa: Monika Dzik. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2017, s. 200.

Sławomir Mrozek, Leopold Tyrmand, *W emigracyjnym labiryncie. Listy 1965-1982*. Wstęp i opracowanie: Dariusz Pachocki. Postłowie: Tadeusz Nyczek. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Marek Pawłowski. Na okładce zdjęcie Sławomir Mrozek i Leopold Tyrmand nad rzeką Hudson, 1974. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, s. 296.

Adam Nicolson, *Krzyk morskich ptaków. Ginący świat podniebnych wędrowców*. Przełożyła: Natalia Mętrak-Ruda. Projekt okładki na podstawie wydania brytyjskiego: Mariusz Banachowicz. Ilustracje na okładce i wewnątrz książki: Kate Boxer. Znak Horyzont, Kraków 2017, s. 400.

John Perkins, *Hitman. Nowe wyznania ekonomisty od brudnej roboty*. Przełożył: Krzysztof Krzyżanowski. Projekt okładki: MDESIGN Michał Duława | michalduława.pl. Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2017, s. 424.

Anna Pomianowska-Wronka, *Diabeł nie pyta o jutro. Literatura faktu wobec wojny w byłej Jugosławii*. Projekt okładki: Bogdan Grochal. Zdjęcie na okładce: Anna Pomianowska-Wronka. Wydawnictwo Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji, Olsztyn 2017, s. 188.

Joanna Rawik, *Po co nam to było*. Projekt okładki: Maciej Sadowski. Zdjęcie na okładce: Maciej Narkiewicz-Jodko. Zdjęcie na IV stronie okładki: Anatol Borowik. Studio EMKA, Warszawa 2017, s. 280.

Radosław Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, tom 2. Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki. Fotografia na obwolucie i okładce: Janusz Sobolewski / Agencja FORUM i Muzeum w Stawisku / FOTONOVA. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2017, s. 760.

Rozmowy z Erwinem Axerem. Projekt graficzny: Janusz Górski. Zdjęcie na okładce: Robert Kowalewski / Agencja Gazeta. Teatr Narodowy, Warszawa 2017, s. 292.

Magdalena Samozwaniec, *Trzymajmy się. Życiowe rady dla starych i młodych*. Zebrał i opracował: Rafał Podraża. Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Karykatura na obwolucie Julian Żebrowski, 1937 rok. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2017, s. 212.

Anna Synoradzka-Demadre, *Jerzy Andrzejewski. Przyczynki biografii prywatnej*. Projekt graficzny i typograficzny: Marcin Hernas | tessera.org.pl. Fotografia Jerzego Andrzejewskiego na okładce: Aleksander Jałosiński. Seria *biograficzna*. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2016, s. 680.

Finał III Wiosny Poezji

Biesiada literacka, koncert i nagrody

W ostatni weekend czerwca szczeciński oddział Związku Literatów Polskich zamykał trzecią edycję Szczecińskiej i Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji. Wiosna Poezji to cykl wydarzeń literackich trwających przez całą wiosnę, a którego finał przypada na ostatni wiosenny weekend.

W sobotę, pierwszego dnia lata w Szczecińskim Inkubatorze Kultury odbyła się ostatnia z imprez tego literackiego projektu – Turniej Jednego Wiersza. Do konkursu zgłosiło się poeci z całej Polski. Każdy autor mógł zaprezentować jeden utwór i tylko jeden mógł zdobyć nagrodę. Recytacjom przysłuchiwało się jury, któremu przewodniczył Kazimierz Burnat, poeta, eseista, publicysta, dziennikarz, tłumacz, przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej Zarządu Głównego ZLP, oraz członkinie: Róża Czerniawska-Karcz, szczecińska poetka, polonistka, i Małgorzata Skwarek-Gałęska prezes Związku Literatów Polskich Oddział w Łodzi. Komisja miała trudne zadanie, gdyż w Turnieju wystąpili wytrawni pisarze, a w tym laureaci wielu ogólnopolskich spotkań poetyckich. Nagroda, okazjonalna statuetka, trafiła do Adrianu Jarosz z Opola. Po części oficjalnej spotkanie przekształciło się w biesiadę literacką. Leszek Dembek, gospodarz wieczoru i prezes oddziału szczecińskiego ZLP, zaproponował cztery tematy rozmowy: Miłość, Wolność, Marzenie, Przestrzeń, na które swoimi utworami wypowiadali się uczestnicy. Przerwy tego swoistego dyskursu wypełniali śpiewem i muzyką gitarzyści Marian Mazurek ze Szczecina, Leszek Lisiecki ze Skwierzyny, Joanna Babiarczyk – Szot (skrzypce) oraz Janusz Szot z Nowego Sącza.

Finał III Wiosny Poezji odbył się w niedzielę, 23. czerwca, w Ogrodzie „Różanym” w Szczecinie. Uroczystość miała charakter widowiska słowno – muzycznego zatytułowanego „Szczecin – miasto, morze i miłość. Artyści słowa, barw i dźwięków dla Niepodległej”. Na program wydarzenia, którego autorem i reżyserem był Zenon Lach - Ceraszyński, składały się różne sztuki artystyczne: plastyka, muzyka, aktorstwo i literatura.

– Naszym celem jest poszukiwanie interesujących form przekazu poezji ze szczególnym uwzględnieniem przestrzeni publicznej i dążeniem do interakcji sztuki – podkreśla Leszek Dembek, prezes ZLP Oddział w Szczecinie.

Punktem kulminacyjnym imprezy było

ogłoszenie wyników III Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza „O Złotą Metaforę” i „Metaforę Niepodległą”. Do konkursu zgłosiło się prawie siedemdziesięcioro autorów z ponad czterdziestu miejscowości. Jury w składzie: Kazimierz Burnat (przewodniczący), Róża Czerniawska-Karcz i Leszek Dembek oceniło ponad 240 utworów. Najwyższe uznanie i statuetka Grand Prix w kategorii „O Złotą Metaforę” przypadły Iwonie Świerkuli z Warszawy. Nagrodę drugą zdobył Jacek Tatar z Warszawy, a trzecią Anna Piliszewska z Wieliczki. Jury przyznało także wyróżnienia, które otrzymali: Ela Galoch z Turku, Magdalena Cybulska z Łodzi i Paweł Ślusarczyk z Zakopanego.

W kategorii „Metafora Niepodległa” jury nie przyznało pierwszej nagrody. Nagroda druga trafiła do Małgorzaty Hrycaj ze Szczecina, a trzecia ponownie do Anny Piliszewskiej. Wśród wyróżnionych znaleźli się: Magdalena Cybulska, Ludmiła Raźniak z Koszalina i Anna Jakubczak ze Szczecina. W obu kategoriach wyłoniono 22 autorów tak zwanych „wierszy zauważonych”.

Nagrodzone utwory zostały zaprezentowane z oprawą artystyczną publiczności, a przeczytali je: Krystyna Maksymowicz i Przemysław Walich, aktorzy Teatru Współczesnego w Szczecinie, oraz Jan Kamiński z XIV Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie i Jakub Tomala uczeń Gimnazjum nr 16 w Szczecinie. Stronę muzyczną widowiska wypełniły popisy rocznych absolwentów wydziału muzycznego Akademii Sztuki w Szczecinie – Marty Korzekwy i Kamila Pędziwiatra oraz występ zespołu rockowego The Red Black Sappers (Marcin Janiszyn-wokal, Marcin Merecki – keyboard, Krzysztof Kowalski – gitara elektryczna, aranżacja części utworów, Michał Drabik – gitara basowa, Przemysław Kupysiewicz – perkusja) z 5. Pułku Inżynieryjnego im. gen. Ignacego Prądzyńskiego w Szczecinie-Podjuchach pod kierownictwem Karoliny Dąbrowskiej.

Wydarzenie w szczecińskiej „Różance” przyciągnęło wielu szczecinian, turystów z Polski i zagranicy. Oprócz estradowych prezen-

tacji mogli także oglądać wystawę twórczości malarskiej i podpatrywać malarzy, tworzących na gorąco swoje dzieła, ze Stowarzyszenia Artystycznego Integracji Europejskiej SAIE oraz Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Szczecinie.

Tradycyjnie w alei na „Różance” otwarto galerię wierszy laureatów III Konkursu im. J. Bursewicza oraz utworów zaczerpniętych z antologii pt. „Przeplływający świat słowa”. Ekspozycji towarzyszyła instalacja pod tytułem „Wiersze – latawce nad różami” Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach, która składała się z papierowych latawców z napisanymi na nich wierszami.

Organizator zapewnił uczestnikom poczęstunek przygotowany przez Restaurację „Mars” w Szczecinie. *Wiosna Poezji* jest wydarzeniem niezwykłym, nie tylko w skali miasta, ale także w całej Polsce. Poeci szczecińscy należą do osób wyjątkowych, ponieważ ich formy takiej aktywności nigdzie indziej nie mają miejsca. Nikt inny tak kreatywnie nie popularyzuje twórczości poetyckiej – powiedział Kazimierz Burnat jako członek Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

Szczecińska i Zachodniopomorska Wiosna Poezji jest doceniana i wspierana przez Urząd Miasta Szczecina, Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego, Zarząd Morskich Portów Szczecin – Świnoujście SA, Fundację Wspierania Kultury „Noc Poetów”, Akademię Sztuki w Szczecinie, Stowarzyszenie Rozwoju i Edukacji „Lider” oraz Oddział Wojskowy PTTK im. ppor. Ryszarda Kuleszy przy 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

– To święto poezji tworzą szczecińscy poeci – członkowie związku. Sukces i uznanie jest ich dziełem, na które składa się wielomiesięczna praca nad realizacją projektu, który uwzględnił metodę intersemiotyczną przekładu, czyli jest artystyczną próbą min., przełożenia wierszy na język malarstwa, impresji filmowych czy happeningu – dodaje Leszek Dembek.

Danuta Sepuco



Jurorzy i laureaci: Fot. Maciej Napiórkowski

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.